(835)
ROK XVI 45

FOTOMONTAŻE ALEKSANDRA RODCZENKI

ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 8 LISTOPADA 1973 ROKU TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA: 3 ZŁ

Fot. Archiwum

WASYL KOCZNOW

W RUBRYCE ZAWÓD pisał: Dziennikarz

Biografia Włodzimierza Uljanowa, który jako siedemnastoletni młodzieniec rozpoczął świadomą działalność rewolucyjną jest krótka i dobrze znana. A mimo to opowiedzieć o życiu i działalności Lenina wszystko do końca jest niemożliwe, gdyż było to życie obfite i złożone. Było ono związane z życiem partii, życiem kraju.

Lenin był politykiem, filozofem, uczonym, teoretykiem, zawodowym rewolucjonistą ale w ankiecie personalnej w rubryce — zawód — Lenin pisał: dziennikarz. Nie przez skromność. Lenin tak właśnie rozumiał społeczną rolę dziennikarza.

Dalszy ciąg na str. 4

JESIEŃ W POCHODZIE

Strzał z działa krążownika „Aurora" rozpoczął nową epokę w dziejach ludzkości. Wybuchła Rewolucja Roku 1917, dziś jej racje uwierzytelnia potęga Kraju Rad, dziś nie ma już wątpliwości, ale wówczas?

Wspomina **Wiktor Szkłowski**, pisarz i świadek tamtych dni:

„Rewolucja była prawie bezbronna. Karabiny maszynowe przywieziono do Pitra z nie uszczelnionymi dławicami. Była to broń magazynów, a nie broń walki. Karabiny maszynowe przywożono zwalone, jak drwa, na samochodzie ciężarowym. Łoża armatnie wieziono oddzielnie. (...)

W koszarach Pawłogradzkich i na Polu Marsowym pojawili się robotnicy-agitatorzy, którzy niekiedy nocowali w koszarach. Byli to pierwsi bolszewicy, których usłyszałem i zobaczyłem.

Wkrótce potem świętowaliśmy 1 Maja — pierwszy raz po Rewolucji Lutowej. (...)

Bardzo szybko przeminął czas Rządu Tymczasowego: rząd kontynuował wojnę, lecz nie mógł powiedzieć, w imię czego wojuje, nie mógł oddać ziemi chłopom. Nie miał zamiaru znacjonalizować fabryk i kopalń. Nie chciał niczego i nie mógł nic rozstrzygnąć. Kiereński był krzykliwy i mętny. Wyrastały Rady. Potrzebne było nowe zrozumienie epoki. Uczynił to Lenin. (...)

Było to piętnastego kwietnia 1917 roku.

Na jednym z samochodów pancernych opuszczono ścianki boczne. Samochód otoczony był ludźmi, którzy oparli łokcie na platformie. Patrzyli na Lenina, zadzierając głowy.

Ujrzałem niewysokiego mężczyznę o bardzo szerokiej klatce piersiowej. Lenin zdjął czapkę. Okazało się, że jest rudy i ma wysokie czoło.

Ludzie, którzy przyszli z Leninem, zdjęli z niego palto, a wraz z nim marynarkę. Ujrzałem atletyczną pierś Lenina, mocne ręce człowieka o dużej sile fizycznej.

Lenin włożył marynarkę i zaczął mówić o zadaniach rewolucji. Mówił spokojnie, z coraz większym zapałem. Zdawało się, że wielki ptak leci na wietrze i jak gdyby kieruje wiatrem. U nas zazwyczaj przedstawia się wielkich ludzi jako nieszczęśliwych, cierpiących, przeżywających tragiczne sprzeczności, jak gdyby wielkość była ciężką chorobą. Widziałem Lenina dwa razy podczas przemówień przed licznym audytorium.

Widziałem: ten człowiek jest szczęśliwy. Wiedział, czego chce, wiedział, co będzie. Tak długo oczekiwany dzień rewolucji nadszedł. Ludzie, którzy robią rewolucję, stoją przed Leninem. Ludzie ogarnięci rewolucją. Jest to ich sprawa. Rewolucję dokonuje się dla nich. Trzeba im wytłumaczyć ich własne interesy. Trzeba im opowiedzieć o nich, o ich dniu jutrzejszym: dla Lenina było to rozkoszą. Mówił jasno, prosto, ta sama myśl nawracała stale, coraz bardziej spokojna i oczywista. Było to wystąpienie przeciw światowemu kapitalizmowi, wyjaśnienie tego, że robotnicy muszą się zorganizować. Nie

Fot. M. Wawrzkiewicz

było tu żadnych tajemnic między człowiekiem, który przemawiał, i ludźmi, którzy słuchali. Człowiek do-

Dalszy ciąg na str. 3

OPOWIASTKI SPOD SAMOWARA

MAREK WAWRZKIEWICZ

Człowiek udający się w podróż zagraniczną jest w gruncie rzeczy zawsze optymistą. Stwierdzam to w dość przykry sposób, kiedy w połowie września po półtorej zaledwie godzinie lotu wychodzę na płytę szeremietiewskiego portu lotniczego. U nas — ciepła jesień, w Moskwie dużo zimniej, wiatr, deszcz ze śniegiem. Optymista podnosi więc kołnierz letniego płaszczyka i — mimo wszystko — niedługo potem udaje się do ulubionych miejsc, które znów zobaczyć się chce, tak, jak ma się ochotę na odwiedzenie starych znajomych. Nigdy nie przepadałem za Moskwą — jej hałas, ruch uliczny jest na dłuższą metę ogromnie męczący, ogłuszający. Ale ciągle jednak wraca się do niektórych wysp na tym szumiącym morzu.

Oto pierwsza z nich — Cmentarz Nowodiewiczy z rzadkiej piękności zespołem siedemnastowiecznych cerkiewek utopionych w zieleni i złocie jesiennych drzew. Oto Stary Arbat, ulica równoległa do supernowoczesnego zespołu architektonicznego Prospektu Kalinina, a później, trochę dalej, obok stacji metro Kowo-

Dalszy ciąg na str. 5

„TYDZIEŃ"

„Pokój parterowy o dwóch oknach, zajmowała przy ulicy głównej miasta Iksinowa redakcja gazety miejscowej. W przedpokoju mieściła się administracja pisma. Przez szyby niezasłonione, w godzinach, gdy słońce do nich nie zaglądało, przechodnie widywali w różnych porach dnia mężczyznę w średnim wieku, łysawego, ruchliwego, to wertującego gazety, to przeglądającego rękopisy, to ślęczącego nad korektą, to wreszcie nerwowym krokiem biegającego po pokoju z czołem zmarszczonym pracą myśli..."

Tak oto **Karol Hofman**, którego w żadnym razie nie należy mylić ze znanym dzięki porannej gimnastyce w Polskim Radio zmarłym przed niewielu laty doktorem Karolem Hofmanem, opisał swojego przyjaciela **Mirosława Dobrzańskiego**, którego imię ciągle żywe jest w pamięci starych piotrkowian.

Mężczyzna przykuty do redakcyjnego pokoju był przed dziesiątkami laty w jednej osobie wydawcą, redaktorem, kierownikiem oraz głównym współpracownikiem wszystkich działów prowincjonalnej gazety, korektorem i rewidentem, a w latach uniwersyteckich tworzył pełne uczucia wiersze, wydał cztery tomy poetyckie...

Nie tylko wielkie ośrodki kulturalne jak Kraków, będący kolebką polskiego czasopiśmiennictwa, czy Warszawa mogą się poszczycić bogatymi tradycjami prasowymi. Niekiedy i prowincja próbowała dorównać stolicom. W wypadku Piotrkowa Trybunalskiego była to jednak prowincja... stołeczna. Ukazywanie się pisma „śmiałego lotu" w tym mieście sejmów walnych Rzeczypospolitej, wyborów monarchów i trybunału koronnego przypada na czasy, kiedy miasto było stolicą guberni, obejmującej przecież Łódź, Częstochowę, Zagłębie...

5 stycznia 1873 roku, a więc sto lat temu ukazywał się pierwszy numer piotrkowskiego „Tygodnia". To pierwsze piotrkowskie czasopismo (nie licząc „piotrkowskich" diariuszów królewskich, gdy tu rezydowali Jagiellonowie, diariuszów drukowanych jednak poza Piotrkowem) stało się wkrótce jednym z najpoważniejszych organów prasy na prowincji. Redagowane początkowo przez ziemianina Antoniego Porębskiego, a po pięciu latach przez wspomnianego już wychowanka piotrkowskiego gimnazjum i warszawskiej Szkoły Głównej — **Mirosława Dobrzańskiego**, wychodziło do 1906 roku, do chwili decyzji władz carskich spowodowanej walnym udziałem **„Tygodnia"** i samego jego redaktora w podniecaniu umysłów, gdy fala rewolucyjna szła przez carskie imperium.

„Tydzień" stanowi dzisiaj nieprzebraną skarbnicę — takie w jego rocznikach bogactwo materiału historycznego. Pozwala poznać nie tylko dzieje jednego z najstarszych i najbogatszych w historię miast Polski, lecz także życie gospodarcze i skomplikowane stosunki społeczne ówczesnej guberni piotrkowskiej, która była przecież u schyłku wieku XIX i na początku wieku XX najbardziej uprzemysłowionym regionem Królestwa Polskiego, więc i ówczesnej Rosji.

Idea ziemiańska początkowego okresu „Tygodnia" rychło zastąpiona została przez Dobrzańskiego i jego współpracowników ideą pozytywistyczną. Pismo bojkotowane przez „zgorszonych" schyłkowych „feudałów" guberni, niełatwo też zyskiwało łaski krzepnącej w klasę burżuazji. Jak powiada wspomniany na wstępie przyjaciel Dobrzańskiego — Karol Hofman — **„tylko mały kapitalik odziedziczony przez redaktora po ojcu pozwalał na to, aby żyć jako tako z odsetek, choćby gazeta nie przynosiła żadnych zysków"...**

Ukazujący się przez 33 lata „Tydzień" (jakże „długowieczne" na owe czasy pismo!) zawiera cenny i niezwykle interesujący materiał literacki. **Hanna Możdzińska** mieszkająca do dziś w Gdańsku córka redaktora „Tygodnia" Mirosława Dobrzańskiego, pamięta z tamtych czasów wizyty **Prusa** i **Sienkiewicza** w domu rodzinnym w Piotrkowie. Na łamach „Tygodnia" znajdujemy utwory **Marii Konopnickiej, Adama Asnyka, Elizy Orzeszkowej, Wiktora Gomulickiego, Bukowińskiego (Selima).** I nie były to tylko przedruki, a często specjalnie dla „Tygodnia" napisane utwory literackie. Wnikliwi szperacze znaleźli tu wiersze **Asnyka i Konopnickiej**, których trudno szukać wśród utworów zebranych tych autorów...

Sam **Dobrzański**, publicysta i społecznik, był przede wszystkim poetą. Pierwsze jego próby poetyckie drukowały warszawskie tygodniki „Kłosy" i „Niwa". W roku 1871 ukazuje się drukiem pierwszy zbiorek wierszy piotrkowskiego poety — „Wstępne akordy". Są to liryczne wiersze, spośród których dwa „Z księgi pamiątek" oraz „Świat i życie" nabrały w ówczesnej krytyce literackiej pewnego rozgłosu. W roku 1879 wychodzi drugi zbiorek wierszy Dobrzańskiego pt. „Poezje", a w 1881 — przekład poematu Puszkina „Cyganie", drukowany w Bibliotece Warszawskiej. Czwarty tomik to „Pusta noc". Wzmiankę o tym utworze znalazłem w przewodniku **Tadeusza Nowakowskiego „Piotrków Trybunalski i okolice"**.

Czytane po latach wiersze zmarłego w roku wybuchu pierwszej wojny światowej poety piotrkowskiego, wydają się dziś zbyt konwencjonalne, odległość czasu spowodowała zobojętnienie do ich tematów. A przecież nie o każdym mógł powiedzieć Piotr Chmielowski:

„Celował pięknym, czysto polskim językiem i stylem potocznym".

W początkach lat sześćdziesiątych, tuż przed dziewięćdziesiątą rocznicą powstania tego pisma, „Tydzień" doczekał się rzetelnej oceny — rozprawy doktorskiej przedłożonej Uniwersytetowi Warszawskiemu. Jej autorem był doc. dr **Stanisław Frycie**, aktualnie wicedyrektor Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie, a w chwili pisania pracy dyrektor nie istniejącego już Liceum Pedagogicznego w Wolborzu.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

SPROSTOWANIE

W 44 numerze „Odgłosów" opublikowaliśmy obszerne fragmenty artykułu **Oskara Weissa** pt. **„Światło i dźwięk"**. Ze względów technicznych wypadło zdanie: **„Biuletyn Informacyjny" PP Pracownie Sztuk Plastycznych nr 1, 1973**, które wyjaśniało skąd pochodzi przedruk. Autora i Czytelników za to niedopatrzenie przepraszamy.

Przypomnienie tej daty jest o tyle ważne, że będą to inne wybory radnych. Inne dlatego, że przez pewien czas dokonywaliśmy dwu aktów wyborczych równocześnie — wybieraliśmy jednego dnia radnych i posłów na Sejm PRL. Teraz dokonamy tylko wyboru radnych. Rozdzielenie wyborów do Sejmu od wyborów do rad narodowych podnosi rangę tych drugich.

Ale nie jest to akt tylko formalny. Tegoroczne wybory do rad narodowych poprzedza dalszy krok w doskonaleniu form władzy państwowej. Po reformie na najniższym jej szczeblu, po powołaniu gmin, nadszedł czas na rozdzielenie władzy ustawodawczej — organu przedstawicielskiego, jakim będzie wybierana rada narodowa, od organu wykonawczego, na czele którego w województwach staną mianowani wojewodowie, w dużych miastach — prezydenci, a w dzielnicach dużych miast oraz w powiatach — naczelnicy.

Platformą polityczną zbliżających się wyborów do rad narodowych i poprzedzającej je kampanii wyborczej są postanowienia I Krajowej Konferencji Partyjnej, uchwała VI Zjazdu PZPR. Cele stawiane przez partię przed całym narodem wymagają sprawnego działania władzy państwowej, która przyczyniałaby się do wyzwalania inicjatywy i do jej wcielania w życie, która konsolidowałaby wokół siebie całe społeczeństwo. Dokonywane więc zmiany w strukturze władzy są zgodne z uchwałami partii, z uchwałami VI Zjazdu PZPR, zmierzają do stworzenia jeszcze dogodniejszych warunków dla rozwoju gospodarczego i społecznego kraju.

Odbywające się właśnie posiedzenia wojewódzkich komitetów Frontu Jedności Narodu stwierdzają, że najważniejszym zadaniem w kampanii wyborczej do rad narodowych będzie określenie w każdym zakładzie pracy, osiedlu, mieście, powiecie i województwie nie tylko zakresu zadań, ale też i tego, jak postępować, jak pracować, aby zadania te wykonać jak najszybciej i jak najlepiej.

Na plenarnych posiedzeniach wojewódzkich komitetów FJN zatwierdzono listy kandydatów do rad narodowych. W Łodzi do Rady Narodowej Miasta będzie kandydowało 225 osób, a wybierzemy z tej liczby 150 radnych. Do dzielnicowych rad narodowych wybierzemy od 100 do 110 radnych, w zależności od liczby mieszkańców dzielnicy.

9 GRUDNIA

WYBORY DO RAD NARODOWYCH

SPOTKANIE w Komitecie Łódzkim PZPR

3 listopada br. I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR — Bolesław Koperski przyjął Zarząd Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Prezes Wiesław Jażdżyński oraz pozostali członkowie Zarządu przedstawili aktualne problemy środowiska literackiego w Łodzi oraz kierunki pracy Zarządu ZLP wynikające z postanowień I Krajowej Konferencji Partyjnej.

Bolesław Koperski wyraził uznanie dla przedstawionych przedsięwzięć jak również przekonanie, iż środowisko literackie Łodzi, podobnie jak inne środowiska ludzi pracy, wniesie godny wkład w proces przeobrażeń w mieście.

* * *

Spotkanie Zarządu Oddziału ZLP z I sekretarzem KŁ PZPR miało miejsce w momencie bardzo istotnym dla środowiska literackiego. Pisarze łódzcy, podobnie jak wszystkie pozostałe środowiska twórcze w mieście, podejmują wiele wysiłków i inicjatyw będących odpowiedzią na społeczne zamówienie.

Nie są to potrzeby chwili, lecz zobowiązania wobec współczesności. Przyspieszony rytm pracy nie może nikogo, żadnego środowiska ani poszczególnego członka twórczej społeczności, pozostawiać na uboczu, w roli outsidera bądź w hamletowskiej pozie.

Nakazy aktywnego działania, co oczywiste, wywołują impulsy zewnętrzne i wewnętrzne, jednakowo cenne.

⊡ Partia odwołuje się do każdego człowieka pracy, a takim jest pisarz i dziennikarz, artysta-plastyk, kompozytor, aktor i filmowiec. Partia inspiruje, zachęca, darzy zaufaniem, zaprasza do współtworzenia siłą swych talentów kształtu naszej socjalistycznej kultury.

⊡ Można z równym optymizmem stwierdzić, że te impulsy zewnętrzne idą w parze z impulsami wewnętrznymi, świadomością potrzeby samookreślenia swej postawy wobec rzeczywistości i przyszłości. Świadomości doniosłej roli kultury i odpowiedzialności za jej społeczną recepcję. A więc nie tylko odpowiedzialności wobec samego siebie i historii, jak to niegdyś bywało.

Sytuacja ludzi kultury i sztuki pozwala i sama w sobie mobilizuje do aktywnego działania, do pełnego wyzwolenia niekiedy drzemiących jeszcze potencjałów. Działania p r a k t y c z n e g o, zarówno w sensie tworzenia nowych dzieł, jak i codziennego włączania się w nurt społecznikowskich i zawodowych działań. A więc chodzi o nieodświętne kontakty z ludźmi pracy, klasą robotniczą, o autentyczną obecność w szkole, która winna być m. in. pierwszym stopniem edukacji kulturalnej. Chodzi więc także o te wielostronne formy wypowiedzi pozaartystycznej, zgodne z patriotyczną i obywatelską powinnością.

Jest to potrzebne społeczeństwu i samym twórcom, jest to bowiem gwarancja harmonijnego rozwoju społecznego, a dla środowisk twórczych najwyższa forma uznania i akceptacji. Bo przecież taki jest główny sens każdego twórczego działania.

(J. W.)

NOTY i OPINIE

POSTĘP TECHNICZNY ma służyć człowiekowi, ma mu ułatwiać życie, pracę czynić lżejszą powodować, że pieniądze wydawane na unowocześnienie techniki mają zwracać się szybko i przynosić duże korzyści. Przyzwyczailiśmy się do takiego schematu myślowego, choć jest on uproszczony. Przyzwyczailiśmy się też do tego, że każdy rok przynosi nam wyższe i trudniejsze zadania. I właśnie postęp techniczny ma ułatwić ich realizację. Ale praktyka dowodzi, że wraz ze wzrostem zadań nie zawsze w parze idzie myślenie o tym, jak postępować, aby robić lepiej, aby działać skutecznie, aby mniejszym wysiłkiem więcej osiągać.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Dla wielu z nas jest to zła natura i trzeba ją starać się zmieniać.

Wprowadzamy np .do budownictwa coraz nowocześniejsze metody pracy i nowocześniejsze techniki. Ciągle jednak nie możemy przezwyciężyć przyzwyczajenia, że jakoś to będzie, że dobry Wicherek da nam lekką zimę. I jak zwykle zima nas zaskakuje. Podobnie stało się w przedsiębiorstwach budownictwa komunalnego w Łodzi. Sezon zimowy w budownictwie zaczyna się 15 października. Mamy już listopad, a na wielu budowach zapomniano o tym, że nadchodzi zima. I nie tylko w przedsiębiorstwach budownictwa komunalnego.

WARSZAWA — ŁÓDŹ BEZ OPÓŹNIEŃ! — donosi „Express Ilustrowany". Dla podróżujących do Warszawy powód do radości, ale już lektura notatki wyjaśnia, że **„prace zostaną zakończone w przyszłym roku, co zlikwiduje wreszcie problem opóźnień w pociągach do Warszawy"**. I z czego tu się cieszyć?

Tego typu optymistycznych zapowiedzi że „jutro będzie lepiej" można znaleźć więcej i nie tylko w „Expressie Ilustrowanym". W rezultacie sprawia to wrażenie, że u nas wszyscy zaczęli gwałtownie zajmować się futurologią. Pożyteczne to zajęcie, ale skromnie przypominamy, że aby jutro było lepiej, wiele jest do zrobienia d z i ś. Dlatego nieśmiało proponujemy: **może tak mniej obiecywać, a więcej zajmować się tym, jak pracujemy i dlaczego jeszcze nie wszyscy pracują dobrze?**

ZAKŁAD ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI. Tego rodzaju napis o niczym jeszcze nie świadczy, wiele bowiem zakładów usługowych chętniej zajmuje się produkcją niż wykonywaniem drobnych reperacji, remontów, szkleniem szyb, naprawą piecy, ślusarką, wszystkim tym, co zwykliśmy rozumieć pod słowem „usługi". „Dziennik Łódzki" sprawdził hasło: **„Usługi ułatwiają życie"** i zaraz musiał zadać sobie i innym pytanie: **„Klientom czy pracownikom zakładów usługowych"?**

Posiadamy wiele różnych przedsiębiorstw zajmujących się usługami. Nie są one najlepiej wyposażone, ale dysponują zespołem ludzi, którzy zobowiązali się umową o pracę do zajmowania się tą dziedziną życia gospodarczego. Czas tym ludziom po prostu przypomnieć, że w obecnej sytuacji gospodarczej kraju, na nich spoczywa największa odpowiedzialność. Przyspieszając tempo rozwoju kraju, zmierzamy do uczynienia go zamożnym i silnym gospodarczo i jeśli przedsiębiorstwa usługowe nadal będą pozostawać w marazmie, to dojdzie do jeszcze większego rozdźwięku między tą dziedziną gospodarki, a innymi. Przedsiębiorstwom zajmującym się usługami warto może przypomnieć, że hasło wykorzystywania rezerw ich również dotyczy.

NA 12 POSTOJACH TAKSÓWEK Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług umieściło tablice z **„Wyciągiem z przepisów porządkowych"**. Dobrze, że pasażerowie na tych 12 postojach wiedzą, czego mogą oczekiwać. Gdyby tak jeszcze więcej było taksówek i gdyby tak w określonych porach dnia i nocy nie stały one bezczynnie na postojach, gdzie akurat nie ma ludzi. Ale rozwiązanie tego problemu podobno jeszcze jest niemożliwe.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji) MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

TWORZYĆ DLA LUDZI

JERZY KATARASIŃSKI

JERZY WAWRZAK

Do nowego roku kulturalno-oświatowego przystąpiliśmy w atmosferze roboczych dyskusji i przygotowań do realizacji perspektywicznego programu rozwoju kultury w mieście, które staje się rozwiniętym, nowoczesnym ośrodkiem przemysłowym, naukowym i kulturalnym. W programie ujęto podstawowe zadania stojące przed środowiskami twórczymi, działaczami kultury i administracią państwową. Wyznaczono w nim główne kierunki zamierzeń inwestycyjnych, a także konkretne zadania do realizacji w najbliższych latach. Pozwoli to z jednej strony w miarę szybko odrobić istniejące zaniedbania w dziedzinie kultury, z drugiej zaś będzie stanowić podstawę wyjściową do podjęcia prac kompleksowych z myślą o dalszej perspektywie.

Wiele tytułów inwestycyjnych w programie rozwoju, jak np. budowa nowego gmachu muzeum sztuki, związanego integralnie z przyszłym Parkiem Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu, budowa galerii sztuki, nowego gmachu Filharmonii Łódzkiej, dwóch teatrów, kin i domów kultury — jest spełnieniem postulatów zgłaszanych przez przedstawicieli środowisk twórczych i działaczy kultury, wynika ze społecznego zapotrzebowania.

Plany działania w niedalekiej stosunkowo przyszłości przewidują utworzenie systemu organizacji kultury, który by wypełniał zadania **Łodzi, jako ośrodka ponadregionalnego,** a równolegle z tym stworzenie miejskich, dzielnicowych, osiedlowych centrów kultury. Rozumiemy przy tym, że recepcja tzw. kultury artystycznej zwłaszcza w ośrodkach dzielnicowych i osiedlowych związana byłaby w sposób organiczny z funkcjonowaniem ośrodków wychowawczych, sportowych, rekreacyjnych, z działalnością organizacji samorządowych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem organizacji młodzieżowych.

ROZBUDZAĆ WYOBRAŹNIĘ

Trzeba zdać sobie sprawę z obiektywnych uwarunkowań, z tego, że realizacja tych zamierzeń nie będzie natychmiastowa. Należy jednak podkreślić, że dokonano na tej drodze pierwszego ważnego kroku. Sprawą oczywistą jest również to, że osiągnięte efekty tych zamierzeń w przyszłości zależeć będą od naszego działania dzisiaj i jutro: od tego, jak będą opracowane programy, koncepcje, założenia, jak przygotujemy dokumentacje i place budowy. Musimy pamiętać, że **nasza dzisiejsza wyobraźnia będzie zmaterializowana w przyszłości.** I musi zostać wyzwolona na miarę tej przyszłości. Mogłoby się bowiem okazać, że mamy nowe obiekty kultury, nie mamy zaś treści, nie potrafimy ich intelektualnie „zagospodarować". Nakazem chwili, o ile chcemy sprostać stojącym przed nami zadaniom, jest **zespolone działanie twórców, naukowców, działaczy kultury, organizacji społecznych i administracji państwowej.**

Ludzie kultury, a zwłaszcza środowiska twórcze, nie mogą jednak czekać, aż będzie zbudowana galeria sztuki, filharmonia, teatry itd. W środowiskach twórczych winna być prowadzona ciągła praca nad dostosowaniem modelu kultury do warunków przyszłości. Chodzi zwłaszcza o myślenie nad treściami, które w większym stopniu niż dotychczas chcemy upowszechniać, nadawać im wymiar zgodny ze społecznym zapotrzebowaniem i celami ideowo-wychowawczymi socjalizmu.

Front walki o nową rzeczywistość obejmuje różne dziedziny życia. Dla naszego działania w tym zakresie fundamentalne są stwierdzenia **VII Plenum KC PZPR. Idei budowy drugiej Polski nie będzie można zrealizować bez gruntownego przeobrażenia świadomości społeczeństwa, pełnego wyzwolenia jego sił twórczych.** Instrumentem służącym do osiągnięcia tego celu jest kultura w szerokim tego słowa rozumieniu, gdyż właśnie ona wpływa na formowanie osobowości, determinuje ideowe motywacje i aktywność ludzką.

CO JUŻ MAMY?

W ostatnich latach obserwujemy pewne **ożywienie** w pracy niektórych środowisk twórczych. Znaczną dynamikę wykazuje zwłaszcza **środowisko plastyczne,** mogące się pochwalić organizacją imprez ogólnopolskich, takich choćby jak kolejne Triennale, poszerzające również działanie na rzecz upowszechnienia sztuki, poprzez organizowanie ekspozycji w mini-galeriach domów kultury i inne.

Trzeba również wspomnieć o próbach — na razie bardziej w sferze zamierzeń — uaktywnienia **środowiska literackiego.** Chodzi tu zwłaszcza o poszerzenie stałych kontaktów z załogami wielkich zakładów pracy i młodzieżą o inicjatywy wydawnicze jak np. zbiorową książkę **„Pisarze w fabrykach"**, współorganizowanie konkursu na reportaż pod nazwą **„Łódź w marszu".**

Zbyt często jednak te przykładowe pozytywy, a można wymienić ich więcej, są **jednorazowymi zrywami,** po których środowiska jakby traciły oddech. Świadczy to o braku długofalowego planu działania środowisk, a zwłaszcza organizacji w nich działających — związków i stowarzyszeń twórczych. Przed wakacjami, nad propozycjami udziału środowisk twórczych w przeobrażeniach miasta obradował **Zespół do spraw Kultury Komisji Ideologicznej KŁ PZPR.** Dyskusja na tym posiedzeniu powinna dać wiele do myślenia. Na ogół bowiem propozycje były sumą inicjatyw przypadkowych, różnej wagi, nie objętych nadrzędną myślą. Trudno było, oceniając je, określić adresata, jakiemu mają służyć, traktować je jako zespół środków służących do osiągnięcia celów wyższego rzędu.

Rozumiemy, że pewnych działań w sferze kulturalnej, artystycznej, nie można planować tak, jak np. produkcji przemysłowej — ze ścisłym oznaczeniem terminów realizacji, wielkości efektów itp. I nie do tego rodzaju planowania chcemy zachęcać twórców. Planowanie — jeśli można w tym wypadku używać tego słowa — twórczości artystycznej i działalności upowszechnieniowej — powinno się nam kojarzyć raczej **z realizacją strategii społecznego oddziaływania,** a więc jeśli mowa o twórczości — **z pielęgnowaniem atmosfery sprzyjającej powstawaniu dzieł odpowiadających na podstawowe moralne, filozoficzne i estetyczne pytania naszej epoki, społeczeństwa socjalistycznego,** zaś w sferze upowszechnieniowej — z inicjowaniem takich **układów organizacyjnych, które by w sposób najpełniejszy, bez zahamowań, umożliwiły dotarcie tych dzieł do jak najszerszych rzesz odbiorców.**

Tego rodzaju myślenie powinno się stać powszechne wśród twórców, artystów, działaczy kultury. Zadaniem czołówki intelektualnej środowisk twórczych jest już przełożenie tych ogólnie brzmiących sformułowań na specyficzny język, jakim może się posługiwać pisarz, plastyk, muzyk, aktor, filmowiec; teatr, wydawnictwo, galeria wystawowa, filharmonia, kino.

Przykładem tego rodzaju ukierunkowanego myślenia może być powstanie w środowisku plastycznym idei stworzenia w Łodzi centrum plastyki, służącej przemysłowi. Centrum krajowego, a w przyszłości, być może, obejmującego również kraje **RWPG.** Znaleźli też nasi plastycy formy organizacyjne, służące tej idei, jak wspomniane już Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej, czy planowane na rok przyszły Triennale Plastyki w Architekturze. Idea ta nie znajduje jednak, jak dotychczas, pełnego zrozumienia zainteresowanych resortów.

PYTANIE: DLA KOGO?

Wiele uwag można by odnieść do sposobu, w jaki realizują swoje społeczne cele poszczególne instytucje artystyczne. Warto by sobie zadać pytanie — **czy w każdym przypadku znany jest odbiorca,** do którego pragnie dotrzeć teatr, filharmonia, salon wystawowy? Mamy na przykład w Łodzi **trzy teatry dramatyczne,** pracujące na sześciu scenach. Jak dotąd nie dały wyraźnych rezultatów próby określenia profilu poszczególnych teatrów i poszczególnych scen. Tymczasem, jak nam się wydaje, w mieście o tak zróżnicowanej strukturze społecznej, powinny istnieć teatry i sceny **różne,** adresujące swą pracę do odbiorców mniej wyrobionych, do odbiorców, dla których teatr stał się chlebem codziennym i do tych wreszcie, którzy szukają w teatrze rozrywki o bardziej wysublimowanym charakterze. Za podstawowego adresata naszych kulturalnych wysiłków powinniśmy uważać przy tym tę część społeczeństwa, która jest w chwili obecnej bardziej potencjalnym niż rzeczywistym **odbiorcą dóbr kulturalnych.** Stwierdzenie to z powodzeniem można odnieść do wszystkich dziedzin sztuki.

SPIĘTRZONE TRUDNOŚCI

Dalszy postęp społeczno-ekonomiczny, zależy od towarzyszącego mu, a nawet w pewnym sensie, wyprzedzającego, rozwoju świadomości ludzkiej. To nakłada na front ideologiczny, którego ważnym ogniwem są środowiska twórcze, odpowiedzialne i trudne żądania. Trudne, bo dziedziczymy niechlubny spadek kapitalistycznej przeszłości: bardzo niski stopień wykształcenia ludności (wyższe wykształcenie posiada 7,7 proc. ogółu mieszkańców Łodzi, większość robotników nie posiada podstawowego wykształcenia). Działamy więc w sytuacji spiętrzających się trudności, gdzie postęp techniczny stawia warunek nie tylko uzupełniania wiedzy, ale i konieczność permanentnego dokształcania i wszechstronnego rozwoju osobowości, a istniejące pozostałości poprzedniej formacji społecznej utrudniają realizacje tych celów.

Obecny etap rozwoju po VI Zjeździe PZPR stawia więc określone wymagania pod adresem twórców, zarówno co do treści sztuki, jej ideowego oblicza, form upowszechniania i udziału w kulturze wszystkich środowisk.

Musimy mieć kulturę, sztukę w pełni socjalistyczną, zaangażowaną, mogącą przemawiać głębokim humanizmem i aktualnością treści. Chodzi nam o to, by czynnikiem inspirującym wszelkie poszukiwania twórcze stała się ideologiczna wizja postępu, kluczowe problemy, które rodzi w kraju i mieście występująca rewolucja naukowo-techniczna. **Kultura musi pełniej współuczestniczyć w tworzeniu ideologicznej wizji człowieka pracy, wzorca osobowości, członka społeczeństwa socjalistycznego, który będzie budował drugą Polskę, kształtował jej obecne i przyszłe oblicze.** Są to wielkie tematy i od twórczości kulturalnej oczekuje się artystycznej wypowiedzi w tych sprawach. Jednocześnie kultura pełni pomocną funkcję w kształtowaniu wiary społeczeństwa w możliwość dynamicznego rozwoju kraju, w realność planów, w organizowanie narodu, mieszkańców Łodzi wokół olbrzymich zadań, wtedy gdy nasze tempo rozwoju jest tak duże, gdy sięgamy po rok 80, planując wprowadzić Polskę do czołówki państw świata.

Fot. W. Parys

IDEOWOŚĆ — PODSTAWOWE KRYTERIUM

Działanie zmierzające do pogłębienia socjalistycznej świadomości twórców przynosić musi wymierny efekt w ich twórczości, w propozycjach artystycznych. W ocenie pracy twórców i działaczy kultury stosować należy jednoznaczne kryteria ideologiczne, **preferować tych, którzy identyfikują swą osobowość artystyczną z ogólnymi celami socjalistycznego wychowania.** Na tak ważnym odcinku frontu ideologicznego, jakim jest kultura, trzeba posiadać kadry najlepsze, prowadzić gospodarkę talentami i zdolnościami twórczymi w sposób przemyślany i racjonalny.

Mamy jeszcze w naszych środowiskach twórczych część kadry, która zbyt wolno przyswaja sobie zasady dynamicznego myślenia, przewidywania tych jakości, które wynikają nie tylko z przeobrażeń cywilizacyjnych lecz także przemian kulturowych.

Nie możemy pozwolić sobie na wytwarzanie kultury masowej w stylu przyjętym na zachodzie Europy, przedstawiającej świat w sposób urzeczowiony, konsumpcyjny. Nasza socjalistyczna kultura sprostać musi oczekiwaniom ludzi pracy, pomagać im w „samorealizacji" własnych wyobrażeń o szczęściu i sensie życia, w dokonywaniu ideologicznych wyborów. Oczekujemy, że adresując sztukę do robotnika jej twórcy o tych sprawach szczególnie będą pamiętać.

Takie postawienie problemu nie oznacza oczywiście, że nie rozumiemy tych potrzeb rozwoju kulturalnego, które mają **charakter awangardowy.** Wręcz przeciwnie, dostrzegamy możliwości dla rozwijania tego typu twórczości, ale w polityce kulturalnej nie może być ona rozwijana jako jedyna.

DRUGI WARUNEK

Za drugi podstawowy problem w dziedzinie organizacji życia kulturalnego uważamy, aktualnie jak i w najbliższych latach, **upowszechnienie kultury w środowisku robotniczym.** Wiemy, że dla wydatnego zwiększenia zasięgu oddziaływania placówek upowszechniania kultury w środowisku robotniczym, będziemy musieli podjąć długofalowe, przemyślane działanie obejmujące rozbudowę sieci placówek, wyposażenie ich w nowoczesne środki techniczne, napływ wysoko kwalifikowanej zawodowo i społeczno-politycznie przygotowanej kadry. Wiele jednak czynników ograniczających ten zasięg wynika ze względów, które powinny i mogą stać się przedmiotem doraźnych działań. Odnosi się to między innymi do pracy placówek upowszechniania kultury takich, jak dzielnicowe, osiedlowe i zakładowe domy kultury. Domy kultury powinny mieć większą rangę, warunki dla rzeczywistego rozwijania tam autentycznej, spontanicznej twórczości i zainteresowań przez robotników, pracowników zakładów pracy.

Generalnie uznajemy potrzebę **szerokiego uczestnictwa samych robotników w kształtowaniu twórczości i szeroko rozumianej kultury.** Oni właśnie w sposób najlepszy mogą wzbogacać wiedzę kulturalną o środowisku, w którym pracują i żyją — wzbogacać ją swą autentyczną osobowością, tworzyć sytuacje, w których kultura powstawać będzie jako forma otwarta, „ruchoma", włączająca do swego dorobku najlepsze wartości z twórczej pracy robotnika, świata jego dążeń i marzeń.

Większą uwagę trzeba przywiązywać do programowania i planowania pracy w środowiskach kultury. Działanie w sferze kultury nie może mieć charakteru doraźnego, okresowego. Musi być ono prowadzone w sposób ciągły, planowany tak jak w każdej innej dziedzinie. Każde środowisko twórcze musi posiadać szczegółowy program, w którym wyraźnie określone zostaną jej cele działania — to, co planuje osiągnąć w tych konkretnych warunkach, w których działa. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że uchwałą, zarządzeniem nie stworzy się dzieła sztuki.

Fot. Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

bijał się jednego, żeby go zrozumiano.

Lenin chodził po platformie, zwracając się w różne strony. Głos miał wysoki, odrobinę gardłowy, dykcję świetną. Nie wiem, czy wypada mi to powiedzieć, ale chyba powiem: ja, student, widziałem w Leninie jeszcze jednego człowieka — profesora. Po zakończeniu przemówienia wsiadł do samochodu ciężarowego, jakaś kobieta zwróciła się do niego. Lenin wstał i zaczął z nią rozmawiać stojąc, nie dostrzegając tego. Potem coś zapisał w małym notatniku odwracając się plecami do audytorium, i nie krępował się tego. Był człowiekiem przy pracy, powtarzam — ptakiem w powietrzu. To był człowiek bardzo szczęśliwy i dalekowzroczny. Szczęśliwy, nie dniem dzisiejszym, lecz jutrzejszym tysiącleciem".

Tak to się zaczęło w Petersburgu, a potem, jak pisze Artiom Wiesioły runęła „słomiana siła" carskiej państwowości. Fale rewolucji rozlały się szeroko — dotarły daleko aż na przykaukaski Kubań.

„Stanicą trzęsło, przetaczały się przez nią wieści jak fale.

Bolszewicy biorą górę w całej Rosji.

Nad Donem wojna. Na Ukrainie wojna.

W Noworosyjsku — władza radziecka.

Na Stawropolszczyźnie lud zatwierdził władzę radziecką.

Kozacy są z ludem. Kozacy są przeciw ludowi.

Pod stanicą Enem oficerowie wybili oddział noworosyjskich czerwonogwardzistów.

W Jekaterinodarze rząd wojskowy rozgromił komitet wykonawczy i aresztował przywódców bolszewickich.

Czerwoni zdobyli Rostów.

W stanicy Krymska na zjeździe przedstawicieli rewolucyjnych stanic wybrano Kubański Obwodowy Komitet Rewolucyjny.

Wiosna tego roku była kapryśna. Błyśnie jeden, drugi jasny dzionek i znowu zadymka i wichura. Niemal do samego Zwiastowania chwytały przymrozki, padał śnieżek, lecz zbli-

Dalszy ciąg na str. 4

Fot. Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 3

żała się już pora orki i wiosennych siewów: jakoś szczególnie świeżo i dźwięcznie piały koguty; pod płotami, w słonecznej spiekocie bose dzieciaki grały już w kostki; w ogrodach i sadach grzebały się baby; gospodarze sortowali i zaprawiali ziarno na posiew, wieźli do naprawy pługi i siewniki. (...)

Żołnierze frontowi zbierali się co wieczór w domu nauczyciela Grigorowa, radzili i rajcowali, jaką władzę wybrać. (...)

Grigorow coraz to zrywał się z miejsca i mówił rozwlekle o świetlanym jutrze Rosji i o rewolucji, o władzy ludu i o zbliżającym się zbrataniu wszystkich narodów i stanów".

I mówili — jest ziemia obszarnicza, jest klasztorna, jest i wojskowa — a gdzie nasza, chłopska? Więc szli brać tę ziemię, która się im z wyroku Historii należała. W pole wyjeżdżano z karabinami, granatami, śrutówkami — z czym kto miał. Płonęły ognie Rewolucji i wołał Artiom Wiesioły — **„Ojczyzno moja... Dym i ogień — i końca nie widać!"** Lecz przez ten dym i ogień, za tym żelaznym potokiem wojny domowej — na wysokim brzegu przyszłych lat rodziła się wizja nowej Rosji...

Ale sprzysięgły się przeciwko tej wizji największe ówczesne potęgi. Pisze **Aleksy Tołstoj** w dokumentalnej powieści „Emigranci":

„Gdy w osiemnastym roku Anglicy zajęli Baku, zaproponowali Czermojewowi utworzenie Republiki Azerbejdżańskiej. Czermojew wykazał wobec Anglików wiele oddania, ale od sprzedaży terenów naftowych chwilowo się uchylił. Zdawało się wówczas, że Azerbejdżan, Dagestan, Gruzja, Abchazja i Armenia na stałe dostaną się pod protektorat Anglii i tylko szaleniec mógłby wobec takich perspektyw śpieszyć się ze sprzedażą pól naftowych.

Jednakże, wbrew zdrowemu rozsądkowi, bolszewicy wyparli Anglików z Baku i Azerbejdżanu. I Anglicy nie wysłali jakoś floty ani wojska, żeby przywrócić Czermojewowi władzę i naftę. Uciekł więc do Paryża i — jak wszyscy tutaj — budził się z nadzieją, zasypiał pogrążony w czarnej rozpaczy. Nikt nie chciał mu pożyczyć pieniędzy na tak niepewną hipotekę, jak znacjonalizowane przez bolszewików tereny naftowe. Trzeba je najpierw odebrać bolszewikom — mówiono. W ostatnich czasach coraz częściej zwracał myśl ku sukcesom wojennym Denikina".

Denikin. Nadzieja białych emigrantów. Ale koła Historii nic już nie potrafiło zatrzymać. Gdzieś tam na krańcach ogarniętej rewolucją Rosji toczy się regularna wojna — w Moskwie toczą się jeszcze boje z propagandą mieńszewików. Wspomina **Stefan Szpringer** w swoim pamiętniku „Z Pierwszą Konną":

„Rozpocząłem pracę jako sekretarz w Oddziale Rozpowszechniania Wydawnictw Centralnego Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego (WCIK). Odbieraliśmy duże transporty różnego rodzaju wydawnictw, przeważnie broszur propagandowych i instruktażowych w języku rosyjskim i niemieckim. Naszym zadaniem było rozprowadzać drukowane materiały umiejętnie i szybko wśród mas robotniczych oraz dostarczać je do różnych instytucji i oddziałów wojskowych, które znajdowały się w stadium reorganizacji.

Nie zawsze szło nam gładko. Wprawdzie Komitet Partii mobilizował do tej pracy najzdolniejszych towarzyszy, ale było nas stosunkowo mało.

Kolportowaliśmy tę literaturę, dowożąc ją dorożkami, a z nastaniem zimy sankami na zebrania robotnicze, na popularne wówczas mityngi, które gromadziły ludność na placach miasta. Broszury rozdawaliśmy bezpłatnie. Było jednak wśród tłumu sporo wrogich elementów i agentów nasyłanych przez organizacje kontrrewolucyjne. Nierzadko dochodziło do bójek, gdyż chciano nam przeszkodzić w rozdawaniu propagandowych broszur. Zadanie musiało być jednak wykonane i choć czasami towarzysze wracali z sińcami, to jednak obowiązek swój wykonywali. Pamiętam, pewnego razu nie zostaliśmy dopuszczeni przez pikietę mieńszewików i ich popleczników na zebranie robotnicze. Musieliśmy się ukryć w pobliskiej bramie i dopiero kiedy robotnicy wychodzili na ulicę, rozdaliśmy im broszury.

Owe broszury propagandowe znakomicie uzupełniały wiadomości podawane w miejscowej prasie. Była to dobra robota, gdyż informując o programie i zamierzeniach Partii, przeciwdziałaliśmy wrogiej propagandzie, która przedstawiała bolsze-

Dalszy ciąg na str. 5

W RUBRYCE ZAWÓD PISAŁ: Dziennikarz

Dalszy ciąg ze str. 1

Życie i działalność Lenina wywołały powódź literatury pamiętnikarskiej. O Leninie pisano i w Rosji i za granicą. Pisali naukowcy, filozofowie, pisarze, dziennikarze, rewolucjoniści — ludzie wybitni i ludzie prości: żołnierze, robotnicy, chłopi. Wydarzenia tamtej epoki znakomicie uchwycił **John Reed** w swojej głośnej książce **„Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem".** Najciekawsze fragmenty książki stanowią rozdziały, w których J. Reed opisuje spotkania z Leninem na zebraniach, zjazdach, w rozmowie z ludźmi, z działaczami różnych partii.

"... W samym Smolnym, w szeregach partii bolszewickiej — notuje J. Reed — **rozpoczęła się dyskusja na temat tak zwanej wolności prasy. Atmosfera była naprężona. Rosła opozycja w stosunku do polityki Lenina".**

Sporo dyskutantów mówiło, że **„prasa powinna mieć pełną wolność, poza nawoływaniem do rozruchów i do obalenia rządu".** Leninowcy proponowali „sprawę prasy (...) rozpatry-

wać tak samo, jak i sprawę własności prywatnej". Ale rezolucja bolszewicka znalazła poparcie większości dyskutantów dopiero po przemówieniu W. I. Lenina.

"Przemawiał Lenin. Chłodny, niewzruszony, marszcząc czoło, mówił powoli, dobierając wyrazy, a każde zdanie spadało jak topór".

„27 listopada zjawiła się w Smolnym delegacja Kozaków, którzy chcieli się zobaczyć z Leninem i innymi przedstawicielami władzy radzieckiej. Zapytali czy to prawda, że rząd Sowietów zamierza podzielić ziemię Kozaków między chłopami Wielkorosji?

— Nie — odpowiedziano Kozakom. Kozacy naradzali się przez chwilę.

— A czy rząd sowiecki ma zamiar odebrać ziemię naszym kozackim posiadaczom i podzielić ją między Kozakami?"

Na to pytanie odpowiadał Kozakom Lenin:

„To już jest wasza sprawa. My okażemy pracującym Kozakom poparcie we wszystkich poczynaniach. Najlepiej zacząć od utworzenia sowietów kozackich, wtenczas bowiem otrzymacie miejsce w KC (CIK'u), a na rząd stanie się również waszym"...

Kozacy odeszli, zamyśleni głęboko. W dwa tygodnie potem ta sama delegacja Kozaków zgłosiła się do białego generała Kaledina.

„— Czy przyrzekacie — zapytali Kozacy — podzielić ziemię wielkich posiadaczy kozackich między pracującymi Kozakami?"

— Prędzej trupem padnę — odpowiedział Kaledin.

Po miesiącu, widząc jak własna armia topnieje w oczach — zastrzelił się... W ten sposób skończyła się ruchawka kozacka."

J. Reed pokazuje Lenina w najtrudniejszych, konfliktowych sytuacjach, w działaniu, w jedności z masami. Nikt jeszcze tak jaskrawie w dziejach rewolucji nie pokazał Lenina w całej reportażowej literaturze — jak John Reed.

„Nagle Lenin zjawił się na Kongresie Chłopskim, który nie chciał uznawać Chłopskiego Komitetu Wykonawczego w Smolnym. Sala szalała:

— Precz z nim! Nie chcemy słuchać waszych komisarzy ludowych! Nie uznajemy waszego rządu!

Lenin stał zupełnie spokojnie, oburącz ściskając pulpit i z zamyśleniem spoglądając małymi oczyma na wrzeszczący tłum. W końcu uspokoiło się, tylko po prawej stronie sali trwały jeszcze okrzyki i świsty.

— Nie przyszedłem tutaj jako członek Rady Komisarzy Ludowych — rzekł Lenin i znów czekał, aż się tumult uspokoi — lecz jako delegat frakcji bolszewickiej, we właściwy sposób obrany na ten kongres.

Uniósł wysoko swe pełnomocnictwo, aby wszyscy mogli je widzieć.

— Zresztą — ciągnął dalej niewzruszonym głosem — nikt nie przeczy, że obecny rząd Rosji został utworzony przez partię bolszewicką — musiał znów przerwać na chwilę — tak, że właściwie skutek jest ten sam."

Jeszcze ciekawiej osobowość Lenina pokazał znakomity dziennikarz japoński **Nakachira,** w książce pt. **„Rok w Czerwonej Rosji".**

„To był 1919 rok. Rosja dusiła się w ognistym pierścieniu frontów wojny domowej i obcej interwencji. Japonia na Dalekim Wschodzie zajmuje dość znaczną część terytorium Rosji i razem z białogwardzistami rosyjskimi kontynuuje marsz w stronę Uralu, a w Moskwie Lenin przyjmuje dziennikarzy japońskich i wyraża swój optymizm co do przyszłych stosunków między Rosją i Japonią. My — dziennikarze japońscy byliśmy zdumieni.

Znajdując się w Moskwie często widziałem fotografie przywódcy rosyjskiej rewolucji. Prawie połowę twarzy stanowiło na nich wysokie czoło, które osobiście uważam za symbol intelektu, sam Lenin wydawał się na tych fotografiach i portretach jakiś nieziemski. I oto wchodzimy do jego gabinetu — od razu widać, że przed nami stoi zupełnie zwykły człowiek — skromny, delikatny, wzbudzający sympatię.

Lenin mocno uścisnąwszy nam dłonie, usadził nas przed sobą i od razu wziął inicjatywę w swoje ręce — opowiada dalej Nakachira. — Zaczął od tego, że wyraził swój żal z powodu pozycji Japonii, która nie chce wyjść naprzeciw pokojowym propozycjom rządu robotniczo-chłopskiego Rosji. Japonia okupuje dość duży obszar wschodniej Rosji, a ten zadziwiający człowiek mówi nam, Japończykom, że nasze narody będą jeszcze żyły w przyjaźni i cały czas pyta nas o Japonię".

Następnego dnia Nakachira przyniósł do sekretariatu Lenina tekst wywiadu.

„Lenin czytał wszystko uważnie i nagle ku mojemu zdumieniu — wspomina dziennikarz — zaczął wnosić do tekstu poprawki, wykreślając to, co wydawało mi się bardzo ważne. Były to wyrażenia w rodzaju: „Lenin postanowił, Lenin nie zgodził się itp. Zrobił mi przy tym uwagę, że to nie Lenin postanawia lub nie zgadza się, gdyż wszystkie ważne zagadnienia rozpatruje rząd robotniczo-chłopski".

Herbert Wells przebywał w Rosji w 1920, roku i o swoich wrażeniach opowiedział w książce **„Rosja we mgle".** Wells przedstawia Rosję zupełnie sparaliżowaną, zalaną przez niszczący potop, widzi kraj, który nigdy się już nie podźwignie, choć autor musiał przyznać, że: **„Rząd radziecki jest jedynym możliwym w tej chwili rządem, który stara się podźwignąć Rosję do życia".**

Herbert Wells pisze, że Lenin wywarł na nim olbrzymie wrażenie swoimi **„niezwykłymi", „fantastycznymi", „zupełnie oderwanymi od rzeczywistości"** planami przekształcenia Rosji w kraj przemysłowy, zelektryfikowany od krańca po kraniec, z wysoko rozwiniętym szkolnictwem i kwitnącą kulturą. W rozmowie z Leninem Wells otwarcie powiedział o swoich wątpliwościach i z właściwym

sobie temperamentem oponował Leninowi. Pod koniec tej rozmowy-sporu Lenin uśmiechnął się do Wellsa:

„Niech pan przyjedzie za jakieś 10 lat, wtedy znów porozmawiamy".

A kiedy w 1934 roku Wells powtórnie przyjechał do Związku Radzieckiego, jego spór z Leninem rozstrzygnęła już sama historia. W 1934 roku Wells nazwał bolszewików genialnymi, a Lenina — najbardziej wspaniałą postacią w Europie.

Bernard Shaw, znany angielski pisarz, uważał, że na przełomie 20-tych lat był tylko jeden godny uwagi mąż stanu w Europie i tym człowiekiem był Lenin. Było to powiedziane w 1921 roku. A **Romain Rolland** w 1924 roku przyznając, że sam jest zbyt wielkim indywidualistą, aby być marksistą, pisał:

„Właśnie dlatego, że jestem indywidualistą, przypisuję rolę wielkim postaciom i muszę przyznać, że jestem bezgranicznie zachwycony Leninem. Nie znam innej do takiego stopnia wielkiej postaci w Europie. Lenin tak głęboko, tak wszechstronnie skierował ster swojej woli w chaotyczny ocean bezwolnej ludzkości, że jego ślad długo jeszcze pozostanie na falach i mimo burz okręt ciągną parą popłynie w świat nowy. Nigdy jeszcze historia nie znała takiej żelaznej woli. Nigdy jeszcze od czasów mitów greckich, europejskie religie nie znały apostoła z taką twardą, jak granit, wiarą. Nigdy jeszcze ludzkość nie zrodziła władcy myśli i ludzi tak absolutnie bezinteresownego. Za życia on wyrzeźbił swoją moralną osobowość w brązie, który przetrwa wieki".

WASYL KOCZNOW

Fot. Archiwum

OPOWIASTKI SPOD SAMOWARA

Dalszy ciąg ze str. 1

kuźnieckaja — Wielka Polanka, Ordynka, dziesiątki małych uliczek, zaułków i pierieułków: architektura żywcem zachowana z osiemnasto- i dziewiętnastowiecznej Moskwy. Najlepiej przejść się tu wieczorem, pod mżącym światłem staromodnych latarń, nawet w śnieg, nawet w deszcz. I jeszcze w centrum to, co się tak udało: połączenie nowoczesności z dawnym — cerkiewki wokół kolosalnego Hotelu „Rosja" — najbardziej lubię tę stronę od rzeki Moskwy, ciszej tu, spokojnie. W samym dole — rzeka, wyżej szumna ulica, najwyżej, tuż u stóp hotelu następna ulica obramowana niewysokim granitowym murem. A właśnie spoza niego wychylają się srebrne kopułki cerkwi.

W SOBOTNIE PRZEDPOŁUDNIE

W metrze, w sobotnie przedpołudnie. Wokół starszego mężczyzny — ożywiony ruch. Mężczyzna trzyma w siatce dwie ryby. Daleko im do imponujących rozmiarów, a mimo to wszyscy z zainteresowaniem wysłuchują jak to było, gdzie było i kiedy było. Powód? Ryby zostały złowione w rzece Moskwie, która do niedawna jeszcze była zupełnie martwa. A ja obserwując to ożywienie, przypominam sobie scenkę sprzed trzech miesięcy. Szedłem wtedy wzdłuż rzeki Moskwy i przystanąłem na nadbrzeżu Frunzego, żeby zapalić papierosa. W pewnym momencie podszedł do mnie siwowłosy staruszek, poprosił o ogień i przystanął — z widocznym zamiarem pogawędzenia. Zaczęliśmy od pięknej lipcowej pogody i od prognoz na drugą część lata. A potem staruszek:

— Taka radość mnie dziś rano spotkała, taka radość!

— No? — pytam zachęcająco.

— Ano, wyszedłem rano nad rzekę i wiesz, co usłyszałem? Kumkanie żaby! Tyle lat tu ich nie było, a teraz znowu wróciły...

TAKICH SZKÓŁ

jest w całym Związku Radzieckim zaledwie cztery: w Leningradzie, w Rydze, w słynnym nowosybirskim centrum naukowym i właśnie w Moskwie. Grupują one w swoich murach najwybitniej utalentowaną młodzież, która rozpoczyna naukę według specjalnego programu po ukończeniu normalnej klasy ósmej. Mówi się po prostu, że są to szkoły uczonych. I jak wynika z rezultatów, z długoletniej już praktyki — nie ma w tym określeniu przesady.

Szkoła nr 18 leży niemal na peryferiach wielkiej Moskwy, nie rzuca się więc w oczy. A jednak mówi się o niej bardzo wiele. Moskwiczanie nazywają ją szkołą Kołmagorowa.

Prof. dr **Andriej Nikołajewicz Kołmagorow,** członek Akademii Nauk ZSRR jest człowiekiem wyjątkowo skromnym, toteż zapewne zaprotestowałby przeciw takiej nazwie. Ale to właśnie on — jeden z trzech najwybitniejszych współczesnych matematyków radzieckich — jest projektodawcą i założycielem szkoły pozostającej pod opieką Uniwersytetu Moskiewskiego i zbliżającej się właśnie do okrągłego jubileuszu dziesięciolecia. Zapytałem prof. Kołmagorowa, czym kierował się, zakładając taką właśnie matematyczną szkołę uczonych.

— Szkołom-internatom przyświeca cel szczególny — chcemy pomóc we wcześniejszym ukierunkowaniu zdolności i zamiłowań matematycznych i fizycznych tym uczniom, którzy nie mają szerszych możliwości w swych niewielkich miastach i osiedlach.

Do szkoły trafiają uczniowie z miejscowości niejednokrotnie bardzo odległych od stolicy Kraju Rad, z Uralu, Syberii, Baszkirii, południowych republik. W jaki sposób?

— Wszystko zaczyna się od olimpiad wojewódzkich, które każdej wiosny odbywają się w całym Związku Radzieckim. Uczestników i laureatów tych olimpiad zapraszamy na nasze egzaminy, innych zaś uczniów polecają nam nauczyciele. Przeprowadzamy długą rozmowę z kandydatem, i egzamin pisemny. Dla pewnej liczby uczniów jest to próba wystarczająca. Ale jest też spora liczba takich uczniów, co do których mamy wątpliwości. Tych, co do których zdania nauczycieli — egzaminatorów są podzielone, zapraszamy na letni obóz przygotowawczy. Po 24 dniach wszystko jest jasne i przyjmujemy do szkoły następnych uczniów.

Zapytałem prof. Kołmagorowa, czy istotnie można używać zaszczytnej, ale bardzo obowiązującej nazwy: szkoła uczonych.

— Zasadniczy cel istnienia szkoły polega na tym, aby nauka nie straciła ludzi zdolnych i mogących ją rozwijać — szczególnie tych ludzi, którzy mieszkają poza wielkimi centrami naukowymi. Nie można oczywiście powiedzieć aby wszyscy nasi absolwenci istotnie zasługiwali na to zaszczytne miano „uczony". Praktycznie wygląda to tak: na uczelnie matematyczno-fizyczne wstępują — po zakończeniu szkoły — prawie wszyscy, 95, 96 proc. — szczególnie na Uniwersytet Moskiewski, Instytut Fizyczno-Techniczny, który kształci uczonych pracujących w dziedzinach najnowszych technik. Oceniamy, że są to już rezultaty bardzo wysokie.

Kołmagorow — to nazwisko znane matematykom całego świata. Nie mogłem się oprzeć pokusie zadania osobistego pytania: jak w jego przypadku wyglądał początek pracy naukowej.

— W moim przypadku było to dość skomplikowane. Zdolności matematyczne zauważono we mnie bardzo wcześnie. Ale właśnie w okresie między szkołą a uniwersytetem zająłem się zupełnie inną dziedziną wiedzy — mianowicie historią Rosji i właściwie zaczynałem już — będąc na trzecim roku — pracę naukową. Ale potem znów wróciłem do matematyki.

Jest to dla współczesnej matematyki droga dość typowa. W szkole te zdolności nie rozwijają się w sposób wyjątkowy. Warto chyba wspomnieć, że jeden z największych matematyków współczesności: Dawid Gilbert, opowiadał o sobie: w szkole średniej nie przywiązywałem do nauki matematyki szczególnego znaczenia, byłem bowiem absolutnie pewien, że i tak będą wybitnym matematykiem.

Nie jest to wyznanie bardzo skromne, ale przecież się sprawdziło.

Zapytałem prof. Kołmagorowa o jego związki z polską matematyką, bez szczególnych nadziei, że odpowiedź będzie bardzo osobista.

A jednak...

— Polska matematyka wzniosła się na bardzo wysoki poziom europejski dzięki pracom w dziedzinie teorii mnogości i teorii funkcji, w tych właśnie dziedzinach najbardziej wsławili się polscy uczeni — zaczynając od Wacława Sierpińskiego. Chciałbym powiedzieć, że ja sam zaczynałem pracę naukową właśnie na tych terenach matematycznych. Byłem uczniem Nikołaja Łuzina, którego łączyła bliska przyjaźń z profesorem Sierpińskim. Tak więc miałem szczęście zaczynać swą pracę w kręgu idei naukowych, które zawdzięczamy polskiej szkole matematycznej.

Profesor Kołmagorow jest znany wśród swoich uczniów z tego, że jego zainteresowania i zamiłowania wybiegają daleko poza obszary matematyki. Na zajęciach, seminariach, zwykłych spotkaniach z młodzieżą, która przychodzi do niego z ufnością i bez tremy, mówi im o estetyce, literaturze, muzyce.

On właśnie wprowadził zwyczaj wspólnego słuchania dobrych płyt z nagraniami symfoniki. Czego słuchał ostatnio?

— „Dies irae" Krzysztofa Pendereckiego...

Władysław Dubrowski z przyzwyczajenia zapewne przedstawia się jako „Wołodia". Nie dziwię się. Bródkę i wąsy nosi zapewne na wszelki wypadek, po to, aby go nie wzięto za ucznia. W szkole zaczął pracować, kiedy był studentem III roku, tak, że obecnie pracuje już piąty rok. Dwudziestodwuletni wykładowca, naukowiec po obronie pracy kandydackiej jest byłym uczniem i wychowankiem tej właśnie szkoły. Ale nie jest on tu wyjątkiem.

Niezwykle intensywny program szkolny nie ogranicza się tylko do typowych lekcji. Młodzież zgromadzona w szkole przebywa w niej cały dzień — szkoła jest jednocześnie internatem. Łatwo więc zorganizować i inne zajęcia — seminaria, koła zainteresowań, dyskusje — na których już uczniowie proponują pasjonujące ich tematy. Dwa lata takiej nauki, potem uniwersytet i dalsza praca naukowa. Pedagodzy radzieccy umieli zorganizować pewien system służący regule, że sukcesy i odkrycia matematyczne zawdzięczamy przede wszystkim ludziom bardzo młodym.

A W SOBOTĘ RANO

kiedy jesienny wyż przywędruje nad Moskwę — miasto raptownie pustoszeje. Zapełniają się za to podmiejskie pociągi elektryczne, autobusy, szosy wylotowe przepełnione są autami, wśród których króluje Fiat-Ziguli, stający się systematycznie najpopularniejszym radzieckim samochodem.

Wszyscy wyruszają za miasto — kto na grzyby, kto na ryby, inni po prostu na świeże powietrze. Okolice Moskwy są bardzo piękne. Mnóstwo lasów, pagórkowaty, urozmaicony teren. Kiedy się jedzie słoneczną szosą wśród sosnowych i brzozowych lasów — łatwo jest zrozumieć marzenie każdego moskwiczanina: podmiejska dacza. Jest to przeważnie skromny domek z niewielkim ogródkiem, gdzie spędza się weekendy sobotnio-niedzielne. I cała Moskwa otoczona jest coraz szerszym pierścieniem tych dacz. Kilka zaledwie lat temu moskwiczanie jeździli do swych dacz położonych w odległości 30—40 km, obecnie szczęśliwcy muszą już przemierzać przestrzeń i 70 km. Ale cóż to jest dla człowieka przyzwyczajonego do wielkich odległości i ponad wszystko ceniącego wypoczynek na łonie naprawdę pięknej, pielęgnowanej przyrody.

Sprawa ochrony środowiska naturalnego człowieka jest już od dawna jednym z głównych tematów radzieckiej prasy, radia i telewizji. A mówi się o tym problemie w sposób różny: ot, zamieszcza się na przykład informację, że za zatrucie rzeki poszedł do więzienia dyrektor jakichś wielkich zakładów. Lub też publikuje się kobylastą dyskusję literacką, w której jest tyle westchnień lirycznych pod adresem matki natury, że pewnie niejeden raz się zarumieniła. Ależ przecież to połączenie lakoniczności z rozlewnym liryzmem daje rezultaty wszystkim widoczne. Nie tylko zresztą na otwartym powietrzu...

MOSKIEWSKIE RESTAURACJE

Pisać o Moskwie, a nie pisać o moskiewskich restauracjach — to już na pewno przesadna powściągliwość. Tym bardziej, że pełnią one funkcje nieco inne od naszych zakładów zbiorowego żywienia. Komu się śpieszy, kto chce szybko zjeść i pędzić dalej — niech zapomni o restauracji. Do zaspokojenia tych najbardziej przyziemnych potrzeb służą rozliczne pielmienne, szaszłyczne, czy po prostu stołówki. Moskiewskie restauracje służą tym, którzy mają parę godzin wolnego czasu, którzy chcą ten czas spędzić na biesiadzie w miłym towarzystwie, przy stole zastawionym suto i smacznie i przy dźwiękach orkiestry grającej zawsze dobrze i zawsze bardzo głośno.

Oczekiwanie na kelnera trwa tu przeciętnie około 40 minut, prawie drugie tyle czeka się na podanie dań. Ale też opłaca się to oczekiwanie, bo to, co podają na stół, powraca czasem do nas w postaci marzeń sennych.

A więc poza takimi specjalnościami rosyjskiej kuchni jak kawior, który po pewnej przerwie znów coraz gęściej zaczyna się pojawiać, poza bogatym wyborem ryb z pstrągiem jesiotrem, i łososiem na czele, poza krabami, krewetkami i rakami — jednym słowem poza tym wszystkim, co podają w każdej restauracji, można się udać do takiej, gdzie uraczą nas czymś, co można dostać tylko tu właśnie. I tak — czeka na nas restauracja „Pekin", gdzie asortyment różnosmakowych i różnokolorowych mięs i ryb przyozdabia się sałatką z meduzy, z bambusa i morskiej kapusty. Tu można popróbować czarnych jajek po chińsku, trepangów, które wyglądają przerażająco, lecz smakują wybornie i innych dziwaczności, trudnych do opisania.

I tak — czekają na nas gruzińska „Aragwi" z wyśmienitymi kurczętami i szaszłykami po kaukasku, „Uzbekistan" z pilawem czarownie pachnącym, azerbejdżańska „Baky" z mięsami podawanymi wraz ze znakomitymi ziołami i trunkami smakowymi...

A jeśli już wyjedziecie poza miasto — odwiedźcie karczmę „Pod Niedźwiedziem". Dają tam czaj z samowaru — wielkiego jak piec i gorącego jak dorodna baba — a do tego konfiturę ze skórek arbuza. I tam właśnie zrozumiałem, jak można wypijać hektolitry herbaty — pod wtór szumiącego samowaru i leniwie płynących opowieści. Opowieści wesołych i smutnych — ale zawsze szerokich, rozlewnych i na długo zapamiętywanych...

MAREK WAWRZKIEWICZ

Moskwa — gmach RWPG — *Fot. Archiwum*

Zapis przemówienia W. I. Lenina na fonografie — rok 1919. *Fot. Archiwum*

Dalszy ciąg ze str. 4

wików w najgorszym świetle. Rezultaty ożywionej propagandy partyjnej nie dały długo na siebie czekać. Coraz więcej robotników i pracującej inteligencji zgłaszało chęć wstąpienia w nasze szeregi".

Na froncie panował głód. Armia powstrzymywana siłą drylu jeszcze się nie rozsypała, jeszcze wszystko było po staremu, choć tam — w centrum Rosji rodziła się rewolucja.

Na froncie żołnierze głodowali. Mnożyły się odruchy buntu... Oto wspomnienia **Ludwika Sprucha:**

„Zameldowałem się przepisowo. Pułkownik nie chciał słuchać całej formuły meldunku, przerwał mi i zapytał ze współczuciem:

— Spruch, coś ty narobił?

— Jeść mi się chciało, panie pułkowniku.

— To trzeba było przyjść do mnie.

— Tu nie chodzi o mnie, ale o wszystkich. Wszystkim pan pułkownik nie da ze swojego.

— Tak. I co ja teraz mam z tobą zrobić? Jak cię lubię, Spruch, co ja z tobą poczne?

— Panie pułkowniku, ja wiem, że będę rozstrzelany, ale proszę mi tylko powiedzieć, czy to prawda, że cara już nie ma.

— Kto ci to mówił?

— Tak słyszałem.

— Ja też słyszałem. Ale nic więcej ci nie powiem, bo rozkazu nie było. A bez rozkazu wszystko jest jak dawniej, zrozumiałeś?

— Więc to chyba prawda — pomyślałem. — Nie chcą ogłaszać, że nastąpiła rewolucja, bo się boją, że żołnierze zaczną rżnąć oficerów".

Rewolucja jednak nie mogła pozostać tajemnicą — wieść o niej roznosiła się coraz szerzej wśród żołnierskich mas... Do armii dotarli bolszewicy z programem zamykającym się w słowach: **„Koniec wojny, cała władza w rękach rad delegatów ludu pracującego i mas żołnierskich".**

A oto dalszy ciąg wspomnień **Ludwika Sprucha:**

„Z Mołdeczna jechaliśmy przez Psków i Połock do Piotrogrodu. Pociąg pełen był żołnierzy, ale nikt nie wiedział, jak odszukać Lenina w stolicy. (...)

Lenina udało się nam odnaleźć łatwiej, niż można było przypuszczać. Stał na podwyższeniu w środku placu przed Ujeżdżalnią, a wokół cisnęło się mrowie. Lenin to przemawiał do wszystkich, to znowu pochylał się, by zamienić kilka słów z kimś, kto podchodził, chcąc porozmawiać z nim osobiście. Prowadził taką nieustającą agitację, działając bezpośrednio wśród mas. Nie było wtedy jeszcze radia ani telewizji, czy innych wynalazków, które ułatwiają kontakt przywódcy ze społeczeństwem, a Lenin chciał przecież mówić ze wszystkimi, chciał wiedzieć, co wszyscy ludzie myślą i czują.

Żeby dostać się pod trybunę, należało stanąć w kolejce i czekać cierpliwie, posuwając się krok za krokiem. Upłynęło przeszło 4 godziny, zanim zetknęliśmy się z Leninem twarzą w twarz. Jeśli ktoś miał możliwość rozmawiać z nim tak jak ja, na zawsze pozostał pod urokiem tego wspaniałego człowieka, który mądrym spojrzeniem z miejsca prześwietlał swego rozmówcę na wylot, a delikatnym uśmiechem zachęcał do zwierzeń.

Powiedziałem od razu, że jestem Polakiem, członkiem SDKPiL oraz SDPRR i słyszałem jego imię jeszcze w roku 1912, kiedy był w Polsce. A teraz przychodzę z towarzyszami w imieniu 531 pułku piechoty, żeby przekazać pozdrowienia od żołnierzy i zapytać, co mamy robić dalej.

— Stać na miejscu, nie schodzić z frontu — powiedział Lenin — i słuchać wyłącznie poleceń partii bolszewickiej. Partia będzie walczyć o jak najszybsze zakończenie wojny. Nie zamierzamy oszukiwać narodu, jak rząd tymczasowy. Cała władza musi przejść w ręce rad, a ziemia — w ręce chłopów. Wy zaś, Polacy — powiedział specjalnie do mnie — zostaniecie wyzwoleni spod ucisku, nikt was już dłużej nie będzie ciemiężył".

Słowa wodza rewolucji zapowiadały wolną, sprawiedliwą Polskę. O tę Polskę walczyli Polacy — rewolucjoniści na ogromnym obszarze Rosji. A po latach polski poeta napisze: „Kłaniam się rosyjskiej rewolucji czapką do ziemi — po polsku. Rosyjskiej sprawie, sprawie ludzkiej — robotnikom, chłopom i wojsku".

Opracował:
JERZY WILMAŃSKI

KIEDY URODZIŁ SIĘ KOZIETULSKI?

W materiałach drukowanych informujących o życiu i czynach sławnego szwoleżera, bohatera kampanii napoleońskich — Jana Kozietulskiego ze Skierniewic rodem, jako data urodzenia figuruje 4 lipca 1781 r. lub tylko sam rok 1781. Okazuje się jednak, że data ta podawana jest nieprawidłowo, gdyż według zapisu znajdującego się w księdze metrykalnej założonej w 1777 r. „syn Wielmożnego i Urodzonego Pana Antoniego Kozietulskiego, starosty będzińskiego i Marianny Grotowskiej urodził się 4 lipca 1778 roku i na chrzcie nadano mu imiona 4: Jan-Nepomucen, Antoni, Leon, Kajetan".

Z tego wynika, iż księga metrykalna wymienia inny rok urodzenia niż wszystkie materiały drukowane, łącznie ze stosunkowo niedawno wydanymi „Wielką Encyklopedią Powszechną PWN" i „Małą Encyklopedią Powszechną PWN" oraz książką Mariana Brandysa pt. „Kozietulski i inni", opartą na bogatej bazie źródłowej. W tej ostatniej pozycji autor przytacza co prawda zapis sporządzony 4 lutego 1821 r. w urzędzie stanu cywilnego miasta stołecznego Warszawy, zawierający oświadczenie świadków mieszkających w budynku przy ul. Leszno nr 659, „iż JAN KOZIETULSKI PUŁK. WOYSK POLSK., kawaler wielu orderów, mający lat 43, umarł na dniu wczorayszym o godz. 11 przed północą w domu powyższ. przy ul. Leszno, będąc bezżennym" (wydanie trzecie przejrzane i uzupełnione z 1971 r., s. 584), ale jednocześnie w przypisie nadmienia: „Wiek zmarłego świadkowie podali mylnie. Urodzony 4 lipca 1781 roku, Kozietulski — w momencie śmierci miał zaledwie 39 lat i 7 miesięcy".

Należy więc sądzić, że Marian Brandys, który przebadał wiele materiałów źródłowych, nie dotarł — podobnie zresztą jak i inni autorzy opracowań o Kozietulskim — do księgi metrykalnej, w której znajduje się wpis dotyczący osoby przyszłego sławnego szwoleżera. Księga ta, będąca w posiadaniu parafii kościoła św. Jakuba w Skierniewicach, chociaż została założona w 1777 r., to jednak prowadzona była i przez lata następne, stąd też w niej odnajdujemy wspomniany zapis z 1778 r.

Ciekawy jest powód posługiwania się przez Jana Kozietulskiego inną niż rzeczywista datą urodzenia, a także niezupełnie takimi samymi imionami, jakie widnieją w księdze matrykalnej (M. Brandys podaje następujące imiona: Jan Leon Hipolit, zaś księga metrykalna — jak już nadmieniliśmy wyżej — an-Nepomucen Antoni Leon Kajetan). Rozbieżności w dacie urodzenia i imionach Kozietulskiego należy szukać w ówczesnej sytuacji politycznej na tle kraju. Trzeci rozbiór Polski i okupacja pruska znacznej części ziem polskich stwarzały niebezpieczeństwo poboru młodzieży do obcego wojska. Z chęci uniknięcia tej „przyjemności" przez zmylenie wroga wypływa zapewne zmiana roku urodzenia i częściowo imion młodego Kozietulskiego dokonana w jakiś sposób staraniem jego rodziców, nie chcących pozbyć się syna z domu.

Sprawa „odmłodzenia" Kozietulskiego nie kończy się jednak na okresie pruskim. Z bliżej niewiadomych względów dzielny szwoleżer chyba także i później posługiwał się — jeżeli nie stale, to przez pewien czas — tymi zmienionymi danymi personalnymi, bowiem ci, którzy o nim dotychczas pisali nie podają rzeczywistej jego daty urodzenia, tj. figurującej w księdze metrykalnej. Pewnego rodzaju wyjątek stanowi wspomniany przeze mnie zapis, dokonany w urzędzie stanu cywilnego m. st. Warszawy, a cytowany w książce pt. „Kozietulski i inni", ale widocznie poza nim M. Brandys — tak skrzętnie zbierający materiały do swej pracy — nie natrafił na inne źródło potwierdzające prawdziwość treści tego zapisu odnośnie ilości lat naszego oficera.

Przy okazji warto dodać, że po Janie Kozietulskim, ściśle związanym z wieloma miejscowościami obecnego województwa łódzkiego, zachowała się ciekawa korespondencja prywatna. Pięć teczek tej korespondencji znajduje się w mieszkaniu — muzeum mgr Jerzego Dunina-Borkowskiego w Krośniewicach. Z materiałów tych korzystał M. Brandys, pisząc o ludziach, którzy zaczęli tworzyć legendę napoleońską w Polsce.

HENRYK SZUBERT

☆ ☆ ☆

„ŻYCIE KULTURALNE NAUCZYCIELI"

Aż się wierzyć nie chce! Czy to możliwe, żeby nauczyciele tak mało czytali? W artykule Aleksandra Gorczyckiego „Życie kulturalne nauczycieli" przeczytałem, że najbardziej aktywna czytelniczo grupa nauczycieli czyta ... 5—8 książek w roku. W głowie się nie mieści, albo to pomyłka. Prawie połowa nauczycieli (wynika to z artykułu) czyta natomiast od 1 do 4 książek rocznie!

Taki obraz czytelnictwa jest zatrważający trudno bowiem wyobrazić sobie człowieka kulturalnego, który nie czyta. Telewizja i prasa nie wystarczą dla kulturalnej edukacji utrzymania się na jakimtakim poziomie. Myślę, że źródło takiego stanu rzeczy nie tkwi w braku czasu, lecz w braku szerszych ambicji kulturalnych. Trzeba coś zrobić, aby te ambicje pobudzić. Jak tego dokonać — nie wiem, ale badania dr Wedrychowicza są tu niepokojącym sygnałem.

ANDRZEJ LERSKI
Łódź

Zdawało mi się, że kończąc optymistycznie artykuł o posesji przy ul. Gdańskiej 131 („Odgłosy" nr 32 z 12. 8. br.) nie będę już wracała do tego tematu, a jeżeli — to tylko w tym celu, by potwierdzić pomyślne zakończenie wieloletnich starań o wykonanie decyzji nr 440/41 z roku 1968, wydanej przez Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury RN m. Łodzi. Decyzja ta — jak wiadomo — dotyczyła ostatecznego ustalenia strefy ochronnej dla fabryki „Majed" i wyprowadzenia na koszt fabryki mieszkańców posesji przy ul. Gdańskiej 131 i Żeromskiego 94, znajdujących się w strefie.

Przy czym — o czym cały czas w dwóch artykułach była mowa — uznano za **bezwzględnie konieczne wyprowadzić przede wszystkim mieszkańców z Gdańskiej 131, albowiem żyją oni, zamknięci ze wszystkich stron murami fabryk w bezpośrednim sąsiedztwie odlewni i galwanizatorni „Majedu". Oni też podjęli walkę wytrwałą i... nieskuteczną o wyprowadzenie ich przede wszystkim z zatrutego rewiru.**

Nie byli osamotnieni. Państwowy Inspektor Sanitarny m. Łodzi już 25 października 1967 roku, a więc 6 lat temu stwierdził, że **„posesja przy ul. Gdańskiej 131 leży w zasięgu nakładających się stref Zakładów „Majed", im. A. Struga i im. P. Bardowskiego".** Wielokrotne kontrole i badania przeprowadzone przez PIS dla m. Łodzi potwierdzają słuszność skargi obywateli zamieszkujących tę posesję na uciążliwości i szkodliwości wynikające z działalności sąsiadujących zakładów. PIS uważa, że posesja ta — otoczona ze wszystkich stron uciążliwymi zakładami pracy — powinna być bezwzględnie w najbliższych planach przewidziana do zmiany użytkowania, to znaczy **nie powinna być wykorzystywana na pobyt stały ludzi.**

Zdawało mi się, że po sześciu latach urzędowego dokumentowania **oczywistej racji przy tak kategorycznie stawianej kwestii ochrony środowiska ludzkiego** — jak to czyni się ostatnio — sprawa Gdańskiej zostanie definitywnie załatwiona, mimo kategorycznego oporu „Majedu". Uważałam, że pismo Wydziału Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska Prezydium RN m. Łodzi, wystosowane do „Majedu" 30 czerwca br. jest ostatecznym w tej sprawie. Jeszcze raz muszę je przytoczyć jako dokument rzetelnie pojętej powinności ustalonej przez władze centralne na rzecz ochrony ludzkiego zdrowia i życia:

„Działając w uzgodnieniu z zastępcą Przew. Prez. m. Łodzi, biorąc pod uwagę warunki zamieszkania stworzone przez ŁFMJ „Majed" okolicznym mieszkańcom — Wydział poleca wykwaterować w pierwszej kolejności lokatorów z budynków przy ul. Gdańskiej 131. W związku z powyższym 14 mieszkań, które zgodnie z umową zawartą w miesiącu kwietniu 1973 r. z ZIM m. Łodzi zostały zakupione przez Fabrykę z zasobów Rady Narodowej w 1973 r., a które wg informacji przedstawiciela „Majedu" przeznacza się dla wykwaterowania lokatorów z ul. Żeromskiego 94a, należy wykorzystać na wyprowadzenie mieszkańców z posesji przy ul. Gdańskiej 131. Na ten sam cel należy przeznaczyć również izby z budownictwa spółdzielczego, jakimi zakład może dysponować".

Okazało się, że jestem naiwna w swym poczuciu praworządności. W pierwszych dniach września otrzymałam pismo z Komitetu Domowego Gdańskiej 131, a w nim podziękowanie za artykuł, który okazał się zupełnie chybiony, bo jednak nie ludzie zagrożeni przez fabrykę, **a fabryka znajduje się pod ochroną.** Prokuratura Wojewódzka nawet nie odpowiedziała mieszkańcom na złożoną tam skargę mimo, że przeprowadzała postępowanie wyjaśniające. Do listu załączone zostało pismo, które Komitet otrzymał od „Majedu". Jego treść jest zdumiewająca:

„... wyjaśniam, że przydzielone 14 mieszkań przez PRN m. Łodzi w kwietniu br. było następstwem bezpośredniego porozumienia Dyrektora Naczelnego Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych „POLMATEX", mgr inż. Jerzego Wrąbla z Przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi mgr inż. Jerzym Lorensem i ukierunkowane na wyprowadzenie wszystkich lokatorów posesji przy ul. Żeromskiego 94a.

Wreszcie i „Odgłosy" otrzymały wyjaśnienie od „Majedu" (po dwóch miesiącach od ukazania się artykułu). W wyjaśnieniu tym rzecz całą ujęto w sześciu punktach, które — niech mi Czytelnicy darują tę osobliwą publikację, zlepioną z dokumentów — nic nie wyjaśniają:

„1. Zgromadzony materiał przez red. Z. Tarnowską, służący jako punkt wyjścia do napisania artykułu w nr 32 z dnia 12. 8. br. tygodnika „Odgłosy" nie był konsultowany lub zaczerpnięty z ŁFMJ.

2. Stanowisko Waszego tygodnika dotyczące omawianej sprawy jakkolwiek nie zawsze zgodne ze stanem faktycznym, jest jednak odzwierciedleniem faktycznego stanu zagrożenia mieszkańców posesji przy ul. Gdańskiej 131, spowodowanym emisją pyłów i gazów z ŁFMJ w Łodzi.

3. Zgadzam się całkowicie co do konieczności wykwaterowania lokatorów omawianej posesji, jednak ze swojej strony poza zapewnieniem środków finansowych na wykupienie od Rady Narodowej odpowiedniej ilości mieszkań nic innego zapewnić nie mogę. Nadmieniam przy tym, że cytowanie przez red. Z. Tarnowską rozległej korespondencji odczytane zostało niewłaściwie, ponieważ korespondencja ta zmierzała nie w kierunku uchylenia się ŁFMJ od wykwaterowania mieszkańców ul. Gdańskiej 131, a uzyskania przydziału od Rady Narodowej odpowiedniej ilości mieszkań.

Zakład nasz na przestrzeni od 1968 r. do chwili obecnej nieustannie czyni starania we wszystkich władzach miejskich i branżowych o ostateczne załatwienie problemu. Aktualnie jestem w posiadaniu dokumentu z dnia 25 lipca br. (a więc sprzed terminu ukazania się artykułu), podpisanego przez Przewodniczącego MKPG w Łodzi, że wreszcie po wielu latach został zaakceptowany nasz wniosek na przydział, ale dopiero w 1974 r. niezbędnych izb zastępczych dla wykwaterowania rodzin z posesji przy ul. Gdańskiej 131. Należy więc przyjąć, że nabrzmiały od lat problem mieszkańców tej posesji zostanie załatwiony w sposób ostateczny w przyszłym roku (w razie konieczności udostępnię omawiany dokument do wglądu Redakcji).

4. Odnośnie problemu mieszkańców posesji przy ul. Żeromskiego 94a informuję, że nie jest on wymyślony przez ŁFMJ, a wynika z Decyzji Wydz. Bud. Archit. i Nadzoru Budowlanego PRN m. Łodzi z dnia 4. 5. 1968 r. nr 4401(41)68 o ustaleniu strefy ochronnej dla ŁFMJ w Łodzi, w której do Decyzji w pkt. 4 polecono wyprowadzić w trybie awaryjnym mieszkańców posesji zlokalizowanych przy ul. Gdańskiej 131 jak i Żeromskiego 94a (również i ten dokument w razie konieczności może być udostępniony Redakcji).

5. Nadmieniam również, że Zakład nasz w 1970 r. otrzymał z PRN m. Łodzi przydział 15 izb z przeznaczeniem na wykwaterowanie lokatorów najbardziej zagrożonych mieszkań posesji przy ul. Gdańskiej 131. Wykwaterowanie tych mieszkańców nastąpiło w porozumieniu z Komitetem Domowym, jednak w późniejszym terminie PRN m. Łodzi, wobec potrzeb zakwaterowania mieszkańców z domów przeznaczonych do rozbiórki, powtórnie zakwaterowało zwolnione lokale.

6. Faktem jest, że w wyniku porozumienia pomiędzy Przewod. PRN m. Łodzi i Dyrektorem Naczelnym ZPMWł. „Polmatex" otrzymaliśmy przydział z PRN m. Łodzi w ilości 14 mieszkań, ukierunkowanych na wyprowadzenie wszystkich lokatorów posesji przy ul. Żeromskiego 94a.

Wobec braku możliwości otrzymania większej ilości izb w 1973 r. umożliwiającej wykwaterowanie wszystkich mieszkańców posesji przy ul. Gdańskiej 131 (nie jak w r. 1970), jedyną słuszną decyzją było załatwienie problemu mieszkańców posesji przy ul. Żeromskiego 94a."

Nie mogę uznać sprawy za zamkniętą i pozostawić jej w stadium, które nosi znamiona konfliktu z porządkiem społecznym.

Zarzuca mi inż. M. Olasek, że zgromadzonego materiału nie konsultowałam lub nie zaczerpnęłam z Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych. Gdybym chciała napisać o efektach produkcyjnych „Majedu", na pewno tam czerpałabym materiał i ewentualnie konsultowała. Miałam do wglądu rozległą korespondencję, którą odczytałam właściwie.

Zakład nieprzerwanie czyni starania od 1968 r. do chwili obecnej o wykwaterowanie mieszkańców z ul. Żeromskiego 94a, i na tę okoliczność zebrałam także materiały: **w piśmie do Ministerstwa Budownictwa z 5 czerwca 1968 r. „Majed" prosi o uchylenie nakazu wyprowadzenia lokatorów z Gdańskiej 131, informując, że**

BŁĘDNE KOŁO

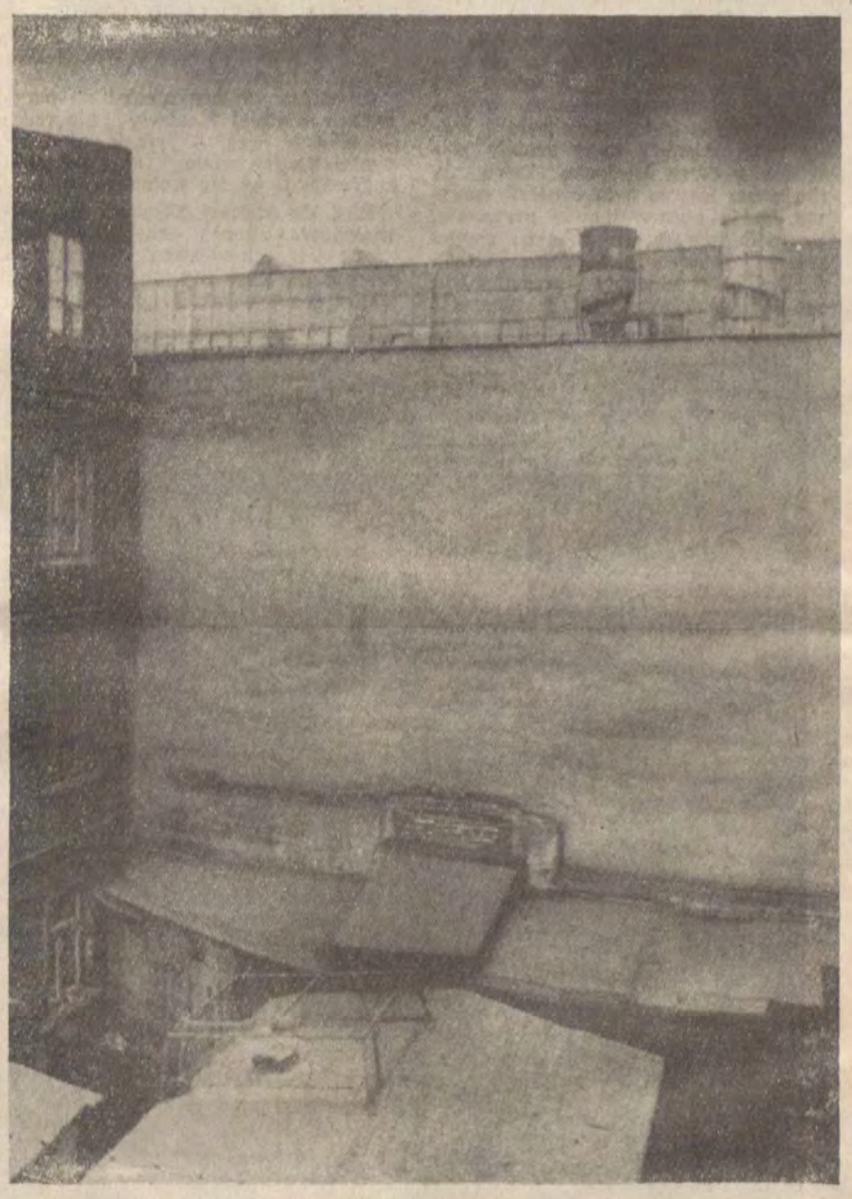

Fot. W. Parys

Ten straszny, przyszły świat

(II)

PODRÓŻ W CZASIE

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRZEZ WIEKI BEZSKUTECZNIE POSZUKIWANO ZARÓWNO KAMIENIA FILOZOFICZNEGO, JAK I ELIKSIRU MŁODOŚCI. WZYWANO NA POMOC DIABŁA, ABY ZA CENĘ ZBAWIENIA DUSZY MÓC ZATRZYMAĆ CZAS. I DOPIERO HERBERT GEORG WELLS WYMYŚLIŁ WEHIKUŁ CZASU, ABY MÓC PODRÓŻOWAĆ NIM TAK W PRZESZŁOŚĆ, JAK I W PRZYSZŁOŚĆ. ALE WEHIKUŁ CZASU TO TYLKO FANTAZJA, DOPIERO CZŁOWIEK WYSTRZELONY W KOSMOS BĘDZIE STARZAŁ SIĘ ZNACZNIE WOLNIEJ NIŻ JEGO RÓWIEŚNICY POZOSTAWIENI NA ZIEMI. NA TO MUSIMY JEDNAK TROCHĘ JESZCZE POCZEKAĆ.

WPRAWDZIE WOKÓŁ GLOBU KRĄŻY STACJA KOSMICZNA, ALE KOSMICZNY OBSZAR UKŁADU SŁONECZNEGO PENETRUJĄ DOPIERO AUTOMATYCZNI ZWIADOWCY. CZŁOWIEKOWI POZOSTAJE ZATEM FANTAZJA I POSŁUGUJĄC SIĘ NIĄ Z POWODZENIEM PODRÓŻUJE W CZASIE.

Troska o historię

Autorzy literatury fantastyczno-naukowej, którzy postanowili posłać swoich bohaterów w podróż w czasie, szybko zauważyli, że swobodne poruszanie się w przeszłości może naruszyć bieg zdarzeń. Wyruszy człowiek w przyszłość, „wyląduje" w XVI wieku, pochwali się swoją wiedzą z wieku XX, zginie wprawdzie na stosie, ale co zrobi zamieszania, to zrobi. Umiejętność poruszania się w czasie nakłada zatem na ludzi szczególną odpowiedzialność i choć wszystko to dzieje się tylko na kartach książek, to człowieka nie opuszcza troska o nienaruszalność historii.

Kiryl Bułyczow w opowiadaniu „Awaria na linii" przedstawia taki właśnie przykład. Bohater tego opowiadania mieszka w starym domu, o grubych ścianach. Pewnej nocy, kiedy długo czytał powieść swego ulubionego pisarza Aleksandra Czerniajewa, usłyszał nagły brzęk. Po długich perypetiach stwierdził, że w murze znajduje się wneka, wykonana z nieznanego bliżej materiału. W tej wnęce leżały stare, rosyjskie monety, rękawica rycerska, ciżmy. Mało leżały. Wiele przedmiotów historycznych pojawiło się na jego oczach. Zbadał dokładnie wnekę i stwierdził, że jest to urządzenie „pocztowe", działające na linii przeszłość — przyszłość. Ktoś tam w czasach Piotra I nadaje w przyszłość różne przedmioty, a gdzieś tam w przyszłości je odbiera, aby wzbogacić przyszłe muzea. I właśnie w urządzeniu ekspediującym zabytki nastąpiła awaria. Dlatego zaczęły one lądować w XX wieku. Bohater opowiadania zbadał urządzenie i mozoląc się długo odkrył przyczyny awarii a nawet je usunął. Wtedy zjawił się monter z XXI wieku. Narrator skorzystał z tej okazji i za pośrednictwem montera przesłał do okrążonego Leningradu sprzed przeszło 30 lat cukier i skondensowane mleko swemu ulubionemu pisarzowi, Aleksandrowi Czerniajewowi.

W kilka dni później dowiedział się przypadkowo o znalezionym niedawno tomie wspomnień o pisarzach. By-

wyprowadzą mieszkańców z posesji Żeromskiego 94a i już tę sprawę załatwiają zgodnie z programem rekonstrukcji branży, a Gdańską załatwią... **w przyszłej pięciolatce,** bo wówczas przewiduje się likwidację odlewni i galwanizacji.

Była to próba obrony przed decyzją, która jeszcze raz została mocno zaakcentowana na naradzie u Głównego Architekta miasta ostatniego dnia maja 1968 r. zwołanej w sprawie odwołania się „Majedu" od decyzji o ustaleniu strefy ochronnej. Na tej naradzie Państwowy Inspektor Sanitarny m. Łodzi stwierdził: **Mieszkańcy Gdańskiej 131 muszą być wyprowadzeni, można dyskutować jedynie termin wykonania nakazu** w granicach pół roku(!)

Ministerstwo utrzymało w mocy decyzję o strefie ochronnej i „Majedu", po dalszej walce uzyskał tylko przedłużenie wykonania decyzji do 1970 r. **Sam Główny Architekt miasta wystąpił do Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego o uwzględnienie w rozdziale mieszkań zastępczych w 1970 r. mieszkań** dla rodzin z ul. Gdańskiej 131.

18 października 1969 r. ten sam Główny Architekt stwierdza oficjalnie, że **wyczerpał swoje możliwości i spodziewa się wkroczenia Państwowego Inspektora Sanitarnego zgodnie z jego uprawnieniami.** Państwowy Inspektor wkroczył, o czym była już mowa i od jego decyzji „Majed" znowu odwołuje się. Bez skutku.

„Majed" broni się i stąd wynika fakt, że **„w wyniku porozumienia z przewodniczącym PRN m. Łodzi otrzymano przydział 14 mieszkań „ukierunkowanych" na wyprowadzenie wszystkich lokatorów posesji przy ul. Żeromskiego 94a. I to uważa się za jedyną słuszną decyzję!?...**

A dlaczego jest to słuszna decyzja? Dlaczego tych mieszkań nie przeznaczono dla części rodzin z Gdańskiej? Jest ich teraz mniej i przynajmniej połowa mieszkałaby już w ludzkich warunkach. Nie chcą lepszych niż mają obecnie ci, których się wykwaterowuje z dobrych mieszkań przy ul. Żeromskiego 94a. Z posesji, która nie leży w strefie określonej w planie zagrożeń jako minimalna. Wystarczy spojrzeć na plan (dokumentację mogę „Majedowi" udostępnić), by dojrzeć różnicę zagrożeń. Tam nawet nie trzeba było przeprowadzać badań sanitarnych, bo nie było celu. Ale „Majedowi" chodzi o co innego i dziwię się, że w wyjaśnieniu nie mamy siódmego punktu, w którym „Majed" uzasadniłby ową, trzeba powiedzieć otwarcie błędną a nie słuszną decyzję. Chodzi bowiem o biurowiec, który potrzebny jest „Majedowi".

A dlaczegoż to owe Biuro Dokumentacji Technicznej, dla którego potrzebny jest trzypiętrowy dom mieszkalny (?) nie może się znajdować w dwóch domach, pod murami fabryki przy ul. Gdańskiej 131, z których mieszkańcy powinni być wykwaterowani w 1970 r. W dalszym wykonaniu decyzji o ich wykwaterowaniu można adaptować następne domki na ten cel. W ten sposób „Majed" zyskałby szanse rozbudowywania Biura Dokumentacji Technicznej czy jeszcze innego — tuż przy oddziałach produkcyjnych...

Pisze dyrektor Olasek, że wreszcie, po wielu latach, został zaakceptowany wniosek o przydział izb zastępczych dla wykwaterowania rodzin z posesji przy ul. Gdańskiej. Należy więc przyjąć, że nabrzmiały od lat problem mieszkańców tej posesji zostanie załatwiony w sposób ostateczny w przyszłym roku. Dlaczego wobec tego odpowiada Pan na dramatyczną prośbę jednej z rodzin, że sprawa wydaje się aktualna do załatwienia w najbliższych dwóch latach? Czyżby istniały w tej sprawie dwa dokumenty? I dlaczego: „wydaje się"? Więc mimo tego dokumentu jeszcze się „wydaje"?

Mnie zaś nie wydaje się nic poza tym, że **popełniono rzecz sprzeczną z zasadami współżycia społecznego.** Wydaje mi się, że władze miasta **nie mają jednolitego poglądu na jednoznaczną, sprawdzoną i rozstrzygniętą sprawę. Sprawę, w której dominuje i boleśnie alarmuje interes zagrożonej grupy społecznej.** Nikt z członków Prezydium RN m. Łodzi nie widział posesji przy ul. Gdańskiej 131. Nikt nie wchodził do mieszkań. I nikt nie był w domu przy ul. Żeromskiego 94a, któremu dano nieuzasadnione pierwszeństwo wykwaterowania.

Nie można uznać tej sprawy za załatwioną. Nie mogę też uznać dziwnej formy jej „załatwiania" przez Ministerstwo Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, które skargę mieszkańców z Gdańskiej przesłało do... Rady Narodowej m. Łodzi. Rada odpowiedziała, że brak jest dostatecznej ilości mieszkań dla wykwaterowania mieszkańców z Gdańskiej, a „Majed" w związku z rozbudową potrzebuje gmachu na Biuro Dokumentacji Technicznej. **Dlaczego Departament Ochrony Środowiska nie delegował kogoś do sprawdzenia stanu faktycznego na miejscu?**

Przedstawiciele Ministerstwa Gospodarki Terenowej na naradzie dziennikarzy i przedstawicieli Prokuratury Generalnej w Warszawie bardzo aktywnie zaznaczali swój udział w użytkowaniu prawa na rzecz ochrony środowiska. Na tym spotkaniu stwierdzono z wysokości autorytetu prokuratorskiego, że zbyt słabe jest wykorzystywanie prawa do zadań ochrony środowiska, że słaba jest popularyzacja odpowiednich artykułów kodeksu karnego, które oddano społeczeństwu jako formę obrony. Apelowano do dziennikarzy, żeby je popularyzowali, bo ludzie nie wykorzystują możliwości, jakie daje im prawo w zapobieganiu przestępstwom popełnianym przeciwko ochronie środowiska.

Artykuł 140 kodeksu karnego § 2 głosi:

„Kto sprowadza niebezpieczeństwo powszechne dla życia lub zdrowia ludzkiego albo dla mienia w znacznych rozmiarach powodując zanieczyszczenie wody, powietrza lub ziemi — podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 10".

Artykuł 439 kodeksu cywilnego:

„Ten, komu wskutek zachowania się innej osoby, w szczególności wskutek braku należytego nadzoru nad ruchem kierowanego przez nią przedsiębiorstwa lub zakładu albo nad stanem posiadanego przez nią budynku lub innego urządzenia, zagraża bezpośrednio szkoda, może żądać, aby osoba ta przedsięwzięła środki niezbędne do odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa, a w razie potrzeby także, by dała odpowiednie zabezpieczenie".

Mieszkańcy posesji Gdańska 131 mogą wystąpić więc do sądu przeciw „Majedowi" z dwóch artykułów. Może to zrobić jednak także Prokuratura — w świetle jej udziału w ochronie środowiska. Wystarczy do pozwu użyć materiałów Inspekcji Sanitarnej, która badała stopień zanieczyszczenia powietrza przez „Majed".

ZOFIA TARNOWSKA

Pięć tygodni słońca, setki kilometrów wydeptanych w muzeach, na ulicach, garściami zbierane wrażenia wrzucane bez ładu i składu do 35-dniowego worka czasu, który nabyłem w Polsce dzięki uprzejmości Narodowego Banku Polskiego za 110 dolarów nie warte nawet tysiąca złotych.

Tyle lat marzyłem o tej wycieczce od powrotu do kraju w 1947 roku. Tyle razy budziłem wspomnienia, szepcząc: ja tam jeszcze wrócę.

Poznałem Francję w 1940 roku. Była to jednak znajomość krótka, powierzchowna, niedonoszona, zaledwie sześciomiesięczna. Nieco dłużej zatrzymałem się we Francji po ucieczce z niewoli. Tak więc po 31 latach wracałem nie tylko do znanego mi kraju, ale i do pozostawionych tam wspomnień, przyjaciół, miłości.

KAROL OBIDNIAK

FRANCJA-73

Zaledwie jednak przekroczyłem granicę, moja wiedza o Francji wydała mi się dziwnie uboga i prostacka. Ożywiały ją, co prawda, doznania osobiste, ale nie dość silne, by uspokoić wzbierający we mnie niepokój.

Francja jest piękna. Zaś bogatą jest nie od dziś, nie od wczoraj, nie pracą jednego, ani dwóch pokoleń Harpagonów, ale całych dziesiątków. Tyle posiada zabytków, że wielka ich część musi ulec zniszczeniu, jeśli inne mają żyć uratowane. Spadek to tak bogaty, że niezależnie od klęsk przerastał zawsze możliwości marnotrawcze spadkobierców. Obcuję z nim teraz na co dzień.

Szukam, co nas łączy, co nas czyni podobnymi. Niezależnie od tego, co nas dzieli.

Francuz nawet wobec żony czyni tajemnicę z wysokości swoich poborów. Dzięki temu wysoko trzyma głowę wśród przerastających go zarobkami udając pewnego siebie nawet przy pustej kieszeni.

Polak przeciwnie, im więcej zarabia, tym głośniej zarobki swoje pomniejsza, tym gorliwiej stara się wzbudzić litość udając nędzarza.

Co pewien czas policja francuska wylapuje na ulicach młodocianych żebraków. Dzieci bogaczy wychodzą bowiem zdziadowane na ulicę i bezwstydnie wyciągają rękę po wsparcie. To nieprawdopodobne, ile egzotyki posiada w sobie zawszona nędza, przebierańcy po przeżyciu kilku dreszczy upokorzenia wsiadają na koślawy rower, dojeżdżają nim do luksusowego samochodu, którym wracają do domu rodziców, do własnych, wydzielonych apartamentów, do radosnego sam na sam z wyżebranym na ulicy groszem. Tulą się do zdjętych przed chwilą łachmanów.

Francuz, podobnie jak Polak, odnosi się z ogromnym szacunkiem do dobrej roboty, ale sam pracuje niechętnie i przynajmniej połowę siły wydatkowanej w godzinach pracy, zużywa na jej skuteczne unikanie.

Kosztorysy wielkich narodowych inwestycji są świadomie przez projektodawców pomniejszane. Idzie przecież o to, by wciągnąć państwo w aferę budowlaną. A to, że potem koszty rzeczywiste będą rosły, przewyższając wielokrotnie wstępne ustalenia, jak na przykład „Concorde", „Hale" itd., nikogo już nie obchodzi. Zwłaszcza, że bywają inwestycje całkowicie chybione, powodujące straty sięgające miliardów franków.

Niejedno uboższe państwo runęłoby pod ich ciężarem, ale nie Francja, która przy całym swym bogactwie należy do krajów bardzo nierównomiernie rozwiniętych i czyni ostatnio ogromne wysiłki, by nie tylko wielka 20-milionowa aglomeracja paryska była wytwórcami dóbr, ale by uczestniczyły w tym procesie i pozostałe części Francji.

Głośna stała się próba zainteresowania kapitałów Niemiec Zachodnich w budowie wielkiej huty żelaza koło Marsylii. Niemcy, mimo próśb, nacisków, zachęt ekonomicznych wcale się do tego nie kwapią. Chętnie natomiast inwestują i budują nowe obiekty w przyległej Alzacji i Lotaryngii, gdzie mają pod ręką starą, dobrze wyuczoną kadrę robotniczą (dwujęzyczną), doskonałe drogi, łączące nowe zakłady z centralą, słowem budują na terenach, które gwarantują im szybkie i wysokie zyski. Interes Francji jest im obcy i wcale się z nim nie liczą. Budowę huty koło Marsylii uważają za pomysł chybiony.

My z własnego doświadczenia wiemy, co znaczy wybudowanie wielkiego zakładu pracy na terenach dziewiczych, nie przeoranych tradycją robotniczą. Ile lat trzeba zużyć, by po uruchomieniu produkcji zakład przynosił zbliżone do przewidywanych zyski. Wiedzą o tym doskonale Niemcy i dlatego powstrzymują się jak mogą przed zbytnim zaangażowaniem swoich środków.

W Polsce uważamy za absolutnie konieczne straty wynikające z tworzenia wielkich ośrodków przemysłowych w miejscach pozbawionych tradycji robotniczych. Świadomie bowiem nie chcemy dopuścić do dramatu, jaki przeżywają Włochy południowe. Francji oczywiście nie grozi podobny dramat, ale czyni się tam próby, by już teraz rosnącej między Północą a Południem dysproporcji rozwoju zaradzić.

Wiadomo, że Francuzi są oszczędni i wiadomo, że w domach towarowych aż kusi, by sobie to lub owo przywłaszczyć. Zdarzały się więc i tam i zdarzają brzydkie przypadki drobnych kradzieży popełnianych przez wielce szanownych obywateli. Liczna straż wewnętrzna domu towarowego wyspecjalizowała się w polowaniu na takie właśnie znaczne persony. Cóż bowiem znaczyło złapać biedaka z groszowym wynosem. Inaczej miała się sprawa z wielce szanownym. Musiał zapłacić karę, wyznaczaną samowolnie przez strażników. Co więcej, często bywał szantażowany groźbą publicznego zdemaskowania wobec podwładnych, współpracowników, przełożonych.

O procederze wiedzieli wszyscy. Pisała nawet prasa. Ale pomimo ostrzeżeń liczba wielce szanownych przyłapywana przez policję wcale nie malała. Rosła natomiast liczba szantażów. W tej sytuacji do rangi bohatera narodowego urósł pewien szanowny, człowiek na stanowisku, który odmówił zapłacenia kary, kazał się zaaresztować i domom towarowym wytoczył proces o niesłuszne nakładanie kar na niewinnych grzeszników. I, o dziwo, proces ten wygrał. Okazało się bowiem, że do ceny każdego drobiazgu domy towarowe doliczają kilka procent, podnosząc samowolnie ceny towarów w ten sposób, by pokryć nimi ubytki powstałe z powodu kradzieży i zniszczenia. Sąd stanął na stanowisku, że domy towarowe nie mają zatem prawa domagać się specjalnej zapłaty za towar, opłacony już a'priori przez klientów. Natomiast mają prawo domagać się od przyłapanego zapłacenia równowartości, bądź zwrotu przedmiotu. Ale niczego więcej. Znikła więc groźba szantażu, hańby nadużyć, ale pozostał zwiększony procent strat, o które zwiększono ceny towarów, za które zapłacą, jak zawsze, uczciwi.

Pewien znany mi kierownik wielkiej piaskarni, wyniesiony został na to stanowisko dzięki wieloletniej doskonałej pracy. Po objęciu przez siebie urzędu postanowił uzdrowić stosunki, zwiększyć produkcję nie przez jakieś tam sztuczki, ale przez zwyczajne uniemożliwienie kradzieży. Dyrekcja była zachwycona. Ale tylko przez dwa miesiące. Robotnicy bowiem, tudzież pozostały personel, jednogłośnie wystąpili o zdjęcie nowego kierownika, grożąc masowym odejściem z pracy. Wezwanemu do dyrekcji nowemu kierownikowi przedstawiono krótkie wyliczenie. Dzięki swojej akcji uzyskał 35-procentowy wzrost produkcji, wyrażającej się sumą X. A teraz, jeśli robotnicy i reszta personelu spełni swoją groźbę, dyrekcja będzie musiała wobec braku siły roboczej miejscowej, sprowadzić ją z Południa Francji, zająć się ich zakwaterowaniem, przeszkoleniem itd. W sumie akcja ta pochłonie nie tylko 35 procent wypracowanego przez nowego kierownika zysku, ale znacznie więcej, wobec czego dyrekcja jest zmuszona podziękować mu za pracę. Tolerowanie bowiem kradzieży okazało się bardziej rentowne od jej zwalczania.

Żadne dobro nie dorówna grzechowi w łączeniu ludzi.

ło tam opowiadanie o Aleksandrze Czerniajewie, jak żył i umarł w okrążonym Leningradzie.

„W zimie, zdaje się w styczniu, odwiedziłem Czerniajewa. Aleksander Grogorjewicz był bardzo słaby i z trudem chodził. Rozmawialiśmy (...) w pewnej chwili powiedział:
— Zdarzyło mi się coś dziwnego. Parę dni temu dostałem przesyłkę.
— Od kogo? — spytałem. — Przecież jest blokada.
— Nie wiem od kogo. Było tam skondensowane mleko i cukier.
— To bardzo panu potrzebne — mówię.
A on mi na to:
— A dzieciom niepotrzebne? Ja jestem starcem, ale te maleństwa z sąsiedniego pokoju... Życie przed nimi.
— I oddał pan przesyłkę?
— A pan, młodzieńcze, jak by postąpił na moim miejscu?"

Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że ów tom opowiadań — zwierza się bohater „Awarii na linii", ukazał się na 7 lat przed datą przekazania przez 'ki w przeszłość.

Historia n ni przerwanie toczyć się według obiektywnych praw, korygowa przez przypadki i subiekt ne oddziaływanie jednostek, które jej wprawdzie nie twor ale na nią wpływają. **Podróż w czasie nawet wyimaginowana nie tu nie może zmienić.** Już choćby dlatego, że jest to tylko nasza fantazja.

W opowiadaniu C sława **Chruszczewskiego** „Nefertari" Ramzes Drugi za sprawą wego kapłana udał się w wiek XX, aby przywieźć lekarstwo dla cho j żony Nefertari. Ruszył w opowiadaniu — tak popularny w naszych czasach — łańcuch dobrej woli. Przywieziono do Egiptu — mimo wielu trudności — lekarstwo z drugiej półkuli, ale przecież nie na czas. Dobra wola współczesnych nie zmieniła biegu historii, a Ramzes Drugi po powrocie w swoje czasy, długo zastanawiał się, dlaczego za parę tysięcy lat ludzie zjed zą się, aby uratować przed działaniem wody świątynie, które on wznosił.

Czas równoległy

Wehikuł czasu — jak pamiętamy z lektury książki H. G. Wellsa, albo z filmu na podstawie tej książki nakręconego — stał w miejscu. Zmieniało się tylko otoczenie, w zależności od tego, czy wędrowano w przeszłość, czy w przyszłość. Podróż w czasie nie wymaga bowiem zmiany miejsca. **John Wyndham** — opie ając się na tej zasadzie — wymyślił jednak coś innego — **czas równoległy.** Bohater jego opowiadania pt. „Dziewczyna z innego wymiaru" Colin Trafford z zawodu fizyk, pracował w Przedsiębiorstwie Elektro-Fizycznym w Londynie. Tam też pewnego dnia na początku 1954 roku uległ wypadkowi i przez kilka tygodni przeleżał nieprzytomny w szpitalu. Jednakże w tym samym czasie był w Londynie zdrów i cały, ale w Londynie z innego wymiaru. Był w tym, innym Londynie również Colinem Trafford — pisarzem. Miał dom, żonę, przyjaciół, znajomych i kochankę. Żyli tu ci sami ludzie, którzy żyli w „jego" pierwszym Londynie. Ich losy były inne. Jego żona ze „starego" Londynu nie poznała go na ulicy. Żony z tego „nowego" Londynu nigdy nie widział na oczy. A okazało się, że była to „kobieta jego życia".

„Jednego wieczoru zasnąłem z Otylią u boku, a nazajutrz rano obudziłem się w łóżku szpitalnym, znów tutaj..."

W miesiąc po wyjściu ze szpitala, postanowił odszukać Otylię, gdyż wiedział, że z domu nazywała się Harshom. A skoro jeden człowiek może żyć w dwu wymiarach jednocześnie, to Otylia Harshom musi mieć swoje wcielenie również i tu.

Wiele ciekawych przygód można przeżyć tracąc przytomność. Pan Trikor — bohater opowiadania **Czesława Chruszczewskiego** pt. „Miasto, które będzie (Tunel)" wybrał się w podróż ze znajomym małżeństwem. Wjechali w t el i okazało się, że tunel ten ciągnie się znacznie dłużej ż rzeczywiście. Wjechali do miasta, które do złudzenia przypominało im cel podróży, a przecież było innym miastem. Okazało się jednak, że było to miasto, skonstruowane w wielkiej przezroczystej kuli, która miała poszybować w j estrzeń kosmiczną i krążyć tam jako stacja kosmiczna. MIASTO, KTÓRE BĘDZIE było kopią MIASTA, KTÓRE JEST, ale rządziło się innymi prawami. Większość zdecydowała, że znajomi pana Trikora pozostaną w MIEŚCIE, KTÓRE BĘDZIE, a on — jako bajkopisarz, natura mało konkretna — powróci na Ziemię.

„Gdy otworzyłem oczy — opowiada pan Trikor — pochylał się nade mną znajomy chirurg.
— Ocaliliśmy pana — powiedział cicho. — Pańscy przyjaciele nie odzyskali jeszcze przytomności. Wasz samochód wpadł na inny wóz. Katastrofa miała miejsce w tunelu".

Wiele opowiadań **Czesława Chruszczewskiego** nosi znamiona opowiastek filozoficznych, których akcja dzieje się bądź w dziwnych okolicznościach przyszłego świata, bądź na innych planetach. Ba! **Czesław Chruszczewski** wpadł nawet na pomysł, który pozwolił mu zachować życie na... Marsie. Po prostu mądrzy Marsjanie, **nie chcąc być zdemaskowani,** przekazali amerykańskim uczonym zdjęcia kraterów Jowisza za pośrednictwem aparatury „Marinera 4".

Jeśli już pisarze uprawiający literaturę fantastyczno-naukową wymyślili **czas równoległy,** to odnosi się on nie tylko do akcji niektórych opowiadań, a jest ich sporo, ale przede wszystkim do samej twórczości fantastyczno-naukowej. Jej akcja może dziać się w najbardziej fantastycznych warunkach, w najbardziej odległym czasie, a przecież **zawsze pozostaje ściśle związana z czasem, w którym autor pisze i z jego ziemskimi doświadczeniami.** I jeśli nawet autorzy powieści i opowiadań fantastyczno-naukowych wybiegają daleko w przyszłość, jeśli rysują przyszły świat, to jest on **albo karykaturą dzisiejszego, albo** — w najlepszym razie — **niedoskonałym marzeniem o idealnych stosunkach, w których człowiek człowiekowi będzie bratem, a wszyscy będą zjednoczeni w realizacji szczytnych celów tworzenia ludziom coraz lepszego życia.** A jednak niekiedy i z tych idyllicznych obrazów wyłania się coś, co smuci lub przeraża. Ale to już inny temat.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GIENNADIJ AJGI

DOM PRZYJACIÓŁ

Tu było przymierze
oddechu, głosu i ruchu
w ich pierwotnym kształcie.

Trzeba było utracić
by pojąć.

I wszystko przenikało
światło głosu, światło spojrzenia, światło ciszy
i gdzieś za tą jasnością
płakały dzieci
i odtwarzał płomień świecy
nasze kroki.

Ukryci
w substancji życia
gdzieś obok śmierci,
ognia i czasu
sami byliśmy
ich twórcami.

Przełożył:
WASYL KOCZNOW

WŁADIMIR BEEKMAN

KONIE

Biegną konie przez łąki, po wieczornej rosie,
Cień w rytm ich biegu wznosi się i kłoni.
Gdzie są, gdzie się podziały te swojskie pokosy
Swawolnego źrebaka kopytkiem trącone?

Trawa im ciemniejąca obok nóg się ściele,
Wznoszą głowy ku słońcu co czerwono świeci,
Nic nie słychać z tej strony, w której pachnie ziele,
Skąd do końskiego rodu dawny zew przyleci.

Stamtąd, gdzie rosną drzewa w młode mgły spowite,
Gdzie jasną wodą pachną wiatry znad potoku,
A radość wykrzyczana w pierwszych blaskach świtu
W szeleście traw przybiega z powrotem o zmroku,

Stamtąd, gdzie grzyw proporce i gdzie tętent trwożny,
Gdzie tabun za tabunem przebiega łąk przestrzeń,
Gdzie w upale południa jak w tęsknej melodii
Poziomki dojrzewają, chwiejąc się na wietrze.

Tu dni się dopalają, a troski gromadą
Ciągną, w poszukiwaniu promiennych wygonów.
Po łąkach o wieczorze biegnie koni stado,
I dźwiga na swych grzbietach trudny czas przełomu.

Przełożył:
MAREK WAWRZKIEWICZ

B. ADIŁ

SŁUCHAJ, OZANIE!

Świat jest miejscem dla smutków
Wielu płacze, uśmiechniętych mało.
(Z podania)

Słuchaj, Ozanie, z tamtych lat zaprzeszłych?
Bo nawet nie wiem, kiedy napisałeś
Te gorzkie strofy, co powietrze palą.
Czy to się stało, gdy straciłeś miłą?
A może wtedy, gdyś syna utracił?
Lub może wówczas uchwyciłeś pióro,
Gdy w twoim domu świece nagle zgasły?
Czy ja to rzekłem: Świat smutek zaludnia?!
A czuję ciebie z tamtych lat zaprzeszłych,
B się ramiona ugięły pode mną,
Gdym na nie ciężar twego smutku złożył.
Bardzo są ciężkie te gorzkości obie.
A wiem, że gorycz właśnie wydobyła
Z piersi twej gorycz, co gorzka podwójnie.
Tak, świat jest stary, bardzo stary świat ten,
Gdy boli serce, choć głowa wysoko...
Zawiera w sobie radość i rozpacze,
A obok święta czai się żałoba.
Wszak ucisk jest i są ciemiężyciele,
I w tylu krajach kajdany, ciemnice.
Niekiedy rzeki niosą z sobą kwiaty,
A często na wierzch krew tylko wypływa.
Ja z tobą zgodny, Ozanie rozumny,
Choć...
Łzy i rozpacz świata nie naprawią.
Jest tylko jeden sposób, aby zmienić
Rozpacze w radość, żałobę w wesele.
Niech człowiek nigdy nie pozwoli, aby
To podeptano, co jest w nim człowiekiem.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

ANATOL HRACZANIKAU

* * *

Przy centralnej ulicy, w wieżowcu
Pod numerem pierwszym, na parterze
Zapłakało dziecko i dom budzi.
Nakrył głowę poduszką milicjant:
„Taki dzisiaj był dyżur spokojny,
A tu, masz ci, wydziera się bachor!"
Naukowiec jeszcze nie spał — dociekał
I płacz dziecka pogmatwał mu wątek.
Kapc wzuł, zapalił papierosa:
„Nie ma dziś równowagi w przyrodzie!"
I wojskowy — emeryt zaburczał:
„Brak dziś dzieciom należnej karności —
Twierdzy ładu i praworządności!"
Nasłuchuje staruszka samotna:
„Zaide zajrzeć. Ach te młode matki!
Czy za moich czasów tak bywało?!"
Budzą się — robotnik i księgowy,
Nauczyciel, lekarz rejonowy,
Doręczyciel, kierownik wydziału...
Miasto budzi się...
Nad nim wśród nocy
Niby pożar wzbija się płacz dziecka.
Świat się budzi
Wygasają cienie.
Już zwierz ocknął się w lesie i ptaki...
I znów ziemię zagarnia muzyka
Spokojnego, zarannego snu.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

MAKSIM TANK

STARA CHATA

Stoję u starej chatyny,
W której było:
Więcej narzekań na życie,
Niż samego życia,
Więcej dymu z łuczywa,
Niż światła,
Więcej gąb,
Niż łyżek,
Więcej garnków,
Niż pęczaku,
Więcej świerszczy,
Niż okruchów chleba,
Więcej snów niespełnionych,
Niż sęków na bierwionie.

I, niby Tomasz niewierny,
Dotykam ran —
Węgłów podgniłych
Ze śladami kolb i kul,
Do drzwi, w które waliły
Wszystkie nawałnice,
Do ślepych oczu szyb,
Skąpych dla słońca,
A szczodrych dla cienia —
I zaczynam wątpić:
Czy ta chatyna
Była kołyską pieśni?...

Przełożył:
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

MAKSIM BAHDANOWICZ

KRÓL WĘŻÓW

Ciemne niebo, granatowe
Światłem gwiazd się mieni,
W ciemnym niebie sierp księżyca
Jakby w aureoli...
Wypełzamy z ciasnych norek,
Spod mchu spod kamieni.
Poszukując miejsc na zimę,
Pełzniemy powoli.

To przez pola, to przez lasy
Wiodą nasze dróżki!
A wczołgamy się do puszczy,
Ja na wszystkich czele,
Połyskują me korony
Złote ostre różki.
Roziskrzona ciemnym blaskiem
Łuska na mym ciele.

Podczas nocy nam przed niczym
Nie trzeba obrony:
Wyjdzie znachor i wyściele
Drogę płótnem białym.
Złoty wiec uronię rożek
Dla niego z korony
I po płótnie będzie dalej
Pełznąć orszak cały.

Przełożył: JAN HUSZCZA

▲ W Bangkoku podano do wiadomości, że po niedawnych zaburzeniach w Syjamie, trzech wojskowych leaderów syjamskich uciekło z kraju. Radio rządowe poinformowało oficjalnie, że naczelni dowódcy syjamskich sił zbrojnych: były premier, feldmarszałek Thanom Kittikaczon, z-ca premiera, feldmarszałek Prapat Czarusatien oraz z-ca dyrektora urzędu bezpieczeństwa państwowego — Narong Kittikaczon, nota bene syn premiera i zięć wicepremiera, udali się w nieznanym kierunku. Z dyplomatycznych przecieków wynika, iż dwaj uciekinierzy: P. Czarusatien i Narong Kittikaczon przylecieli nocą, 28 października, do Taibei, stolicy Taiwanu, na pokładzie pasażerskiego odrzutowca syjamskiego. Miejsce pobytu trzeciego dygnitarza — Thanoma Kittikaczona — jest na razie nieznane.

▲ Wyświetlany obecnie w niektórych kinach amerykańskich film pt. „Drugi pistolet" jest dokumentalną próbą analizy zabójstwa Roberta Kennedy'ego w Los Angeles 4 czerwca 1968 roku. Producentem i reżyserem filmu, w jednej osobie, jest Theodor Carach. Autor filmu, z ogromną siłą przekonywającą nieustannie potwierdzając swe wywody faktami, stara się udowodnić, że w momencie zabójstwa R. Kennedy'ego oddano strzał z jeszcze jednego pistoletu, niezależnie od strzałów z pistoletu Sirhana-Sirhana, że pocisk z tego „nieznanego" pistoletu był właśnie śmiertelny i że ani jeden z pocisków, które opuściły lufę pistoletu Sirhana nie trafił w Kennedy'ego. Ponadto twórca filmu mocno akcentując fakt, iż policja nie przyjęła do wiadomości, lub wręcz odrzuciła te zeznania świadków, które nie potwierdziły wersji policji, że Sirhan jest jedynym sprawcą zbrodni, „Drugi pistolet" jest filmem, który zmusza do refleksji, iż prawdziwy zabójca senatora jest, być może, wciąż na wolności, a Sirhan-Sirhan jest tylko śrubką w złożonym mechanizmie spisku na życie R. Kennedy'ego.

▲ W 1973 roku japońskie inwestycje kapitałowe w Ameryce Łacińskiej wzrosły z 600 milionów do miliarda dolarów. Suma ta w porównaniu z 14 miliardami dolarów, zainwestowanymi w krajach Ameryki Łacińskiej przez USA, wydaje się nieznaczna. Niemniej wzrost ten nastąpił tak niezwykle szybko, że przemysłowcy Stanów Zjednoczonych mówią już o poważnej ekspansji Japonii w sferze tradycyjnych wpływów kapitałowych USA. Japończycy są dużo bardziej elastyczni od swych północno-amerykańskich konkurentów. Ameryka Łacińska jest zasobna w surowce, których potrzebuje Japonia, ale których nie ma u siebie. W rejonach na południe od Rio-Grande znajdują się bogate pokłady mineralne, których nigdy jeszcze nie tknęła ręka człowieka. Na granicy Brazylii z Boliwią znajdują się, np., największe w świecie złoża rudy żelaza, które żywo interesują Japonię. Japończycy proponują Peru pomoc w przemyśle rybnym, a Boliwii — w gospodarce rolnej. Mają oni nadzieję, iż tą drogą, zapewnią w przyszłości tanie produkty żywnościowe swojej własnej wyspie, podobnie — jak robili to Anglicy w XIX wieku.

(c)

Reinhardta Loderera z Solingen uważano powszechnie za człowieka o nieskazitelnej opinii. Codziennie o godz. 7,30 rano wychodził ze swego skromnego mieszkania, siadał za kierownicą własnego volkswagena i jechał do pracy. Zajmował stanowisko inżyniera-programisty w fabryce wyrobów metalowych firmy „Schneidestahl AG". Po przyjeździe do fabryki wkładał biały kitel i szedł do pomieszczeń centrum obliczeniowego.

ELEKTRONICZNY OSZUST

Tam czuł się jak u siebie w domu. Było to jego królestwo. Nikt lepiej od niego, Loderera, nie mógł kierować dumą firmy — matowoszarym komputerem, który wykonywał najbardziej różnorodne zadania, a nawet obliczał zarobki pracowników firmy.

Koledzy i przełożeni Loderera cieszyli się wraz z nim, kiedy sprzedał starego volkswagena i kupił sobie nowiutkiego mercedesa. Zachwycili się jego garniturami i z trudem ukrywali zazdrość, kiedy, jakby od niechcenia, napomykał, że chce spędzić urlop we wschodniej Afryce. Wszyscy wierzyli opowiadaniom o śmierci ciotki, która zostawiła mu ponoć wielki spadek. I dopiero wówczas, gdy zaczął sobie budować willę za miastem, koledzy zaczęli szeptać o programiście Lodererze.

Jego przełożeni nie mieli czasu, by zastanawiać się nad dobrą passą swego podwładnego. Mieli i bez tego mnóstwo kłopotów. Nieoczekiwanie zwiększyły się rozchody firmy na uposażenia. O defraudacji nie mogło być nawet mowy, bo przecież zarobki obliczał komputer. A komputer, jak wiadomo, nie myli się nigdy. Mimo to firma postanowiła przeprowadzić wyrywkową kontrolę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie otrzymuje ktoś wynagrodzenia ponad ustalony limit. Obliczenia wykonane przez komputer sterowany przez Loderera, okazały się absolutnie pewne. Jednakże komisja rewizyjna nadal nie mogła się doliczyć pokaźnej sumy pieniędzy. Koniec końców dyrekcja firmy postanowiła porównać sumę płac zarobkowych z wykazem wszystkich zatrudnionych. I „omyłkę" wykryto: miesiąc w miesiąc komputer wyliczał uposażenia „martwym duszom", ludziom, którzy już od dawna nie pracowali w fabryce, a następnie przelewał je na konta nie istniejących już pracowników fabryki. Wszystkie należały do Loderera...

Oszuści typu Loderera są bardziej niebezpieczni od rabusiów i szantażystów razem wziętych, ponieważ działają przy pomocy intelektu, a nie brutalnej siły, posługują się nie wytrychem, lecz najbardziej współczesną maszyną — komputerem. Komputer jest najczulszym punktem układu nerwowego współczesnego społeczeństwa przemysłowego. On prowadzi księgowość, kieruje sygnalizacją świetlną, lotem samolotów, kontroluje ilość towarów w magazynach, oblicza wyniki wyborów, reguluje dopływ towarów, informuje działaczy politycznych, konstruuje samochody, planuje rozmieszczenie zakładów przemysłowych. Nawet policja już od dawna korzysta z usług „komisarza komputera", który wie o przestępcach więcej, niż najlepszy policjant. Teraz do walki z „komisarzem komputerem" wystąpił nie mniej sprawny „gangster komputer". Przy umiejętnym kierowaniu może on zgarniać o wiele większe sumy pieniędzy, niż najlepszy włamywacz. Wartość informacji i tajemnic, zgromadzonych w elektronicznych maszynach obliczeniowych przedsiębiorstw często odpowiada wartości ich rocznej produkcji przemysłowej. W fabrykach kompanii Forda w Kolonii, całkowicie skomputeryzowanych, wartość ta sięga około sześciu miliardów marek.

Obecnie, w fabrykach i urzędach Zachodnich Niemiec funkcjonuje ponad 10 tysięcy EMO, ale około 8 tysięcy spośród nich chroni się w sposób niedostateczny, lub nie chroni się wcale. Wystarczy zwykły magnes, jakim bawią się dzieci, żeby błyskawicznie zniszczyć nagromadzone w nich i przechowywane informacje.

Reiner Muelen, kierownik prac badawczych na uniwersytecie w Kolonii, lubi nazywać siebie „pierwszym detektywem NRF w zakresie komputerów". Przestudiował on 130 głośnych przestępstw, dokonanych przy pomocy elektronicznych maszyn liczących. Ponad 90 procent tych przestępstw wykryto przypadkiem. Wykrywanie takich nadużyć bardzo utrudnia fakt, że do komputera nie można zajrzeć jak do księgi buchalteryjnej. Specjaliści do walki z przestępczością wyrażają opinię, że ta stosunkowo nieliczna elita, składająca się z systematyków-analityków, specjalistów programowania i operatorów może dokonywać przestępstw, których rozmiary trudno nawet przewidzieć. W USA, gdzie pracuje ponad 150 tysięcy komputerów, zarejestrowano już wiele przestępstw, dokonanych przy pomocy elektronicznej techniki obliczeniowej.

H. Word, pracownik kompanii „University Computing" w Kalifornii, poznał kod konkurencyjnej firmy „Information Systems Design" i „wykradł" telefonicznie jej program komputerowy, którego wartość oceniono na 10 tysięcy dolarów. Trzej pracownicy amerykańskiego wydawnictwa „Encyclopaedia Britannica" przepisali adresy klientów firmy, utrwalone na taśmach magnetycznych komputerów i sprzedali je firmie konkurencyjnej, co naraziło wydawnictwo na straty rzędu 6 milionów dolarów. Aresztowani w marcu tego roku pracownicy wielkiej firmy handlowej „Kwelle" w Feurth, w NRF, nie zadali sobie nawet trudu z podrabianiem zaprogramowanych informacji, a po prostu ukradli je. Z safesów i biurek firmy zniknęło pewnego dnia 100 kilogramów taśm magnetycznych, mikrofilmów i perforowanych kart. Za pośrednictwem szwajcarskiej kompanii złodzieje sprzedali konkurencyjnej firmie „Klingee" w Pforzheim, również w NRF, adresy 327 tysięcy klientów i otrzymali za to 170 tysięcy marek.

Większości oszustów posługujących się komputerami powodziło się w NRF doskonale. Ofiary przestępców z reguły nie zwracają się do policji. Wytwórcy i użytkownicy komputerów są jednakowo zaniepokojeni „utratą prestiżu" i zabiegają o to, by podobne „konflikty" rozstrzygać przy drzwiach zamkniętych. Kompanie produkujące komputery, wyraźnie drżą o reputację swoich wyrobów i prędzej bezpłatnie zainstalują urządzenia zabezpieczające w przedsiębiorstwie, które poniosło straty, aniżeli dopuszczą, żeby echo oszustwa, dokonanego przy pomocy ich komputerów, przedostało się na łamy gazet. Także kompanie korzystające z elektronicznych maszyn liczących, głównie banki i kompanie ubezpieczeniowe, bojąc się odstraszenia klientów, skandalem, chronią aferzystów, złapanych na gorącym uczynku, od sądu i kary. Dlatego też inspektor policji kryminalnej w Monachium powiedział otwarcie, że przestępstwa dokonywane przy pomocy komputerów „nie są na razie przedmiotem zainteresowania policji".

Jednakże jak wielka istnieje potrzeba efektywnej ochrony przed „najbardziej inteligentnymi przestępcami XX wieku" świadczy rejestr znanych w NRF, ale nie sądzonych, wypadków wykorzystania elektronicznych maszyn obliczeniowych do celów przestępczych. Pracownik jednej z kas oszczędnościowych w Hamburgu przywłaszczył sobie ponad pół miliona marek. W jaki sposób? Oto programista oddziału finansowego wykrył przypadkiem, że komputer, doliczając procenty do wkładów oszczędnościowych, dochodzi tylko do tysięcznych części, a następnie redukuje ilość cyfr po przecinku do dwóch. Programista ów obliczył na komputerze wszystkie zaokrąglone reszty w fenigach i przełożył je na swój bankowy „język". Okazało się, iż dzięki dużym wkładom oszczędnościowym klientów, oszustowi udało się „zebrać" w ten sposób z zaokrąglonych procentów 480 tysięcy marek...

W USA już w 1970 roku dokonano około 30 napadów z bronią w ręku na centra obliczeniowe i elektroniczne maszyny obliczeniowe. W wyniku jednego z takich napadów na centrum obliczeniowe pewnego wielkiego koncernu przemysłowego poniósł on straty, sięgające 10 milionów dolarów! Łupem bandytów były informacje i tajemnice przemysłowe koncernu.

W przyszłości problemem bezpieczeństwa komputerów będzie się chyba musiał zainteresować Bundestag. W czasie omawiania projektu ustawy o ochronie zaprogramowanych informacji wyłoni się przede wszystkim sprawa ochrony zakodowanych biografii obywateli NRF w państwowych kartotekach elektronicznych. Skandaliczne wydarzenie, o którym mówił swego czasu przedstawiciel zarządu organizacyjnego SPD kraju Nadrenia-Palatynat, Wilhelm Drescher, wskazuje, że informacje o ludziach, lub grupach ludzi, zgromadzone w komputerach można wykorzystywać do brzydkich celów. Drescherowi wpadł w ręce dokument, z którego wynikało, że CDU korzysta z usług komputerów w celu wywarcia nacisku przy obsadzaniu stanowisk w urzędach. Okazało się, że partyjny komputer CDU dysponuje szczegółowymi informacjami z prywatnego życia około 25 tysięcy obywateli. W 1972 roku kierownictwo CDU zwróciło się do przedsiębiorstw przemysłowych, instytucji i urzędów państwowych, znajdujących się w sferze wpływów CDU o korzystanie z usług komputera CDU przy obsadzaniu kluczowych stanowisk. A zatem i w świecie komputerów o skandal nie trudno.

J. CZECH

Foto: „Paris Match"

Ta młoda para jest... parą męską. W Holandii śluby homoseksualistów są na porządku dziennym, ale w Stanach Zjednoczonych taki „mariaż" odbył się po raz pierwszy w historii USA. W kościele metodystów Chollas View w San Diego, wielebny Johny Hase połączył węzłem małżeńskim Edwarda Brendana, oficera marynarki i Josepha Browera, recepcjonistę hotelowego.

To, bądź co bądź, sensacyjne wydarzenie wskazuje na rosnące wpływy obyczajowe w USA tzw. „Gay Power", czyli wspólnoty homoseksualistów. Początek „ewolucji w małżeńskim seksie" dała nowa sekta pn. „Kościół wspólnoty miejskiej", który w całości oddał się dziełu krzewienia haseł „Gay Power" i cieszy się dziś wprost rekordowa liczba „wiernych". Na szczęście istnieją przeszkody prawne, które hamują gwałtowna ekspansję neofitów. Tak czy inaczej, nie w „kościele wspólnoty" nikt nie może zadać pytania: „Które z oblubieńców jest panienką na wydaniu"?...

W KRĘGU KULTURY

Prochy Pablo Casalsa powrócą do ojczyzny, ale dopiero wtedy gdy w Hiszpanii zniknie faszystowski reżim. Tak postanowiła rodzina wielkiego wiolonczelisty, dyrygenta i kompozytora. Jak wiadomo zmarły niedawno Casals, opuściwszy niegdyś frankistowską Hiszpanię postanowił nigdy do niej nie powrócić dopóki panuje tam faszyzm. Wyemigrowawszy do Francji osiadł od roku 1949 w małej miejscowości Prades we Wschodnich Pirenejach w pobliżu granicy hiszpańskiej. Pablo Casals — jak to określa „l'Humanité" — w przeciągu ponad trzech czwartych wieku był artystą związanym z ruchem demokratycznym w swej działalności muzycznej, tak, jak Pablo Picasso w malarstwie, tak jak Pablo Neruda w poezji.

Pablo Casals osiągnął niebywałe szczyty w swym kunszcie wiolonczelisty. Był także znakomitym dyrygentem i nie mniej świetnym kompozytorem, choć zastrzegał się, że jego utwory mogą być opublikowane dopiero po jego śmierci. Jedynym wyjątkiem było kilka kompozycji nagranych przez „Philipsa" w osiemdziesiątą rocznicę urodzin Casalsa. Niechętnie występując publicznie, Casals zawdzięcza swą sławę najwybitniejszego wiolonczelisty naszych czasów głównie dzięki nagraniom płytowym.

W ostatnich latach swego życia zamieszkał na Puerto Rico w San Juan, miejscu urodzenia swej matki. Tam też zmarł na atak serca w wieku lat prawie dziewięćdziesięciu siedmiu. Jego śmierć wywołała głęboki wstrząs w całym świecie muzycznym. Puerto Rico uczciło pamięć wielkiego wiolonczelisty uroczystą trzydniową żałobą.

PARYSKA WYSTAWA STEINLENA

Z okazji pięćdziesiątej rocznicy śmierci Teofila Aleksandra Steinlena otwarto w Muzeum de Saint-Denis wystawę dzieł tego wybitnego malarza i rysownika. Wystawa składa się głównie z dzieł przechowywanych przez siostrzenicę artysty i dzieł wypożyczonych z muzeum w Luwrze. Eksponowano około dwudziestu obrazów i ponad sto pięćdziesiąt rysunków. Steinlen, z pochodzenia Szwajcar, od roku 1881, to jest gdy miał lat 22 osiada w Paryżu na stałe. Zaprzyjaźniony ze słynnymi artystami, głównie z Montmartre'u, Steinlen zbliża się równocześnie do kół postępowych i przyjaźni z pisarzami reprezentującymi radykalny ruch społeczny. Współpracuje jako rysownik z postępowymi pismami takimi jak „La Voix du Peuple" (Głos Ludu) i „l'Humanité".

W twórczości Steinlena zaznaczają się silne akcenty krytyki społecznej. Lubił rysować ludzi prostych i biednych, z pasją kreślił postacie i twarze robotników, dzieci z przytułków dla sierot, sceny uliczne w biednych dzielnicach Paryża. Nie rozstawał się nigdy ze szkicownikiem chwytając życie na gorąco — ludzi tłoczących się u wejścia do cyrku, pary zakochanych spacerujących po pracy w fabryce. Był też znakomitym portrecistą, a jednym z jego ciekawszych prac jest pełen ekspresji „Portret Gorkiego".

NOWY „KAMIEŃ Z ROSETTY"?

Ekipa francuskich archeologów pod kierunkiem profesora Henri Metzgera z Lyonu dokonała doniosłego odkrycia na Wyżynie Anatolijskiej (Turcja), w miejscowości Xantos, niegdyś starożytnym osiedlu licyjskim. Znaleziono tu płytę kamienną o długości ok. 1,20 m, na której znajdują się napisy w trzech językach: licyjskim, starogreckim i aramejskim. W kołach naukowych panuje przekonanie, że odkrycie owego kamienia ma znaczenie równe temu, jakie kiedyś przypadło w udziale innemu Francuzowi, Champollionowi, który odkrył tajemnicę „Kamienia z Rosetty". Odczytał on egipskie hieroglify dzięki temu, że ów kamień zawierał tekst w trzech odrębnych pismach: egipskim hieroglificznym i hieroglificznym uproszczonym t. zw. demotycznym oraz greckim.

O języku licyjskim wie się, jak dotąd, niewiele. Należy on do grupy języków indo-europejskich. Znanych jest wprawdzie ok. 150 inskrypcji, z których niektóre są dwujęzyczne, grecko-licyjskie, nie zostały one jednak jak dotąd całkowicie odczytane. Płyta z Xantos, być może wyjaśni, jeśli nie całkowicie to w znacznym stopniu, tajemnicę języka mieszkańców starożytnej Licji.

ŻYCIE GOETHEGO W 13 ODCINKACH

W przyszłym roku przypada 225-lecie urodzin najwybitniejszego poety niemieckiego, Johanna Wolfganga Goethego. Z okazji tej rocznicy zachodnioniemiecka TV postanowiła nakręcić film telewizyjny o jego życiu i twórczości. Projektuje się 13 odcinków, które w sumie mają trwać około dziesięciu godzin. Do opracowania serii tych audycji telewizja hesska, która je organizuje, zaprosiła do współpracy dziewięciu germanistów, aby postać i twórczość wielkiego poety ukazać w świetle najnowszych badań. Sześć odcinków z ogólnej serii ma być nakręconych w Weimarze i Lipsku po uzyskaniu zezwolenia od odpowiednich władz w NRD.

Pierwszy odcinek tego serialu telewizyjnego nadany będzie w dniu 28 sierpnia 1974 roku w rocznicę urodzin poety. Trwać ma 45 minut a jego tematem ma być „Faust", praca autora nad tym poematem i jego znaczenie w literaturze światowej. W miesiąc później w 200 rocznicę opublikowania „Cierpień młodego Werthera" audycja będzie poświęcona właśnie temu dziełu. W styczniu 1975 roku rozpocznie się nadawanie w systemie chronologicznym przedstawienie życia Goethego od jego wczesnego dzieciństwa aż po starość. Goethe ukazany ma być kolejno jako wybitny człowiek teatru, polityk, podróżnik po Italii, naukowiec o zainteresowaniach przyrodniczych. Jedynie — jak to podkreśla nieco ironicznie pismo „Der Spiegel" — Goethe jako kochanek, nie wydał się autorom telewizji godny ukazania.

DWÓCH POETÓW I JEDNA AKTORKA

Ostatnio telewizja francuska przedstawiła m. in. losy słynnej aktorki Mme Dorval (Maria Delaunay) zmarłej w 1849 roku. Przez siedem lat łączyły ją bliskie stosunki z romantycznym poetą Alfredem de Vigny. Ale pisarz, zarozumialec i egoista patrzył później obojętnie na śmierć w nędzy swej byłej kochanki. Prawdziwą pomoc, serdeczność, wsparcie finansowe okazał Dumas (ojciec), choć sam znajdował się wówczas w poważnych trudnościach finansowych.

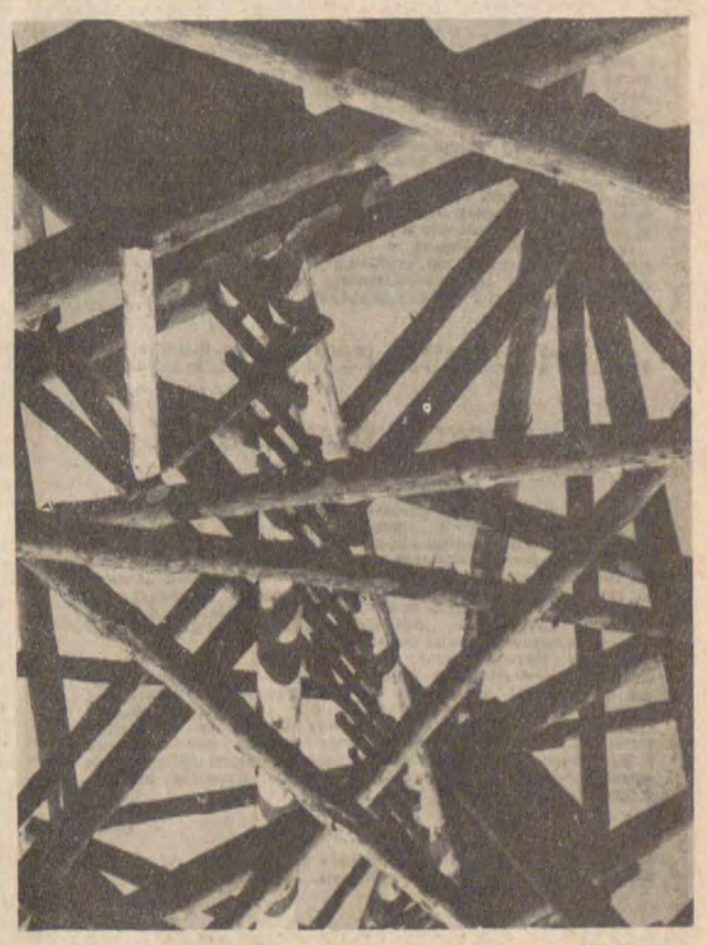

Fot. W. Parys

„REFLEKSJE NAD OŚWIATĄ"

Książki Jana Szczepańskiego zawsze wywołują szeroki rezonans społeczny. Tak było ostatnio z „Odmianami czasu teraźniejszego", jak i z „Rozważaniami o Rzeczypospolitej". Teraz ukazały się jego „Refleksje nad oświatą".

Jan Szczepański — socjolog jest też znakomitym publicystą. Przewodnicząc Komitetowi Ekspertów w czasie przygotowywania „Raportu o stanie oświaty" miał okazję nie tylko do wielu przemyśleń, refleksji, ale również do wielu polemik. Jako uczony rozumie miejsce i rolę oświaty w teraźniejszości i przyszłości. Jako publicysta daje temu wyraz w swoich rozważaniach, publikowanych niejednokrotnie na łamach periodyków i gazet codziennych.

„Refleksje nad oświatą" powstały w latach 1968—1973, stąd też — jak zastrzega to sam autor — więcej w nich jest pytań niż odpowiedzi. Niektóre pytania narodziły się w trakcie opracowywania „Raportu o stanie oświaty", a odpowiedzi przyniosły późniejsze postanowienia, włącznie z niedawną debatą sejmową i jej uchwałą. Nie jest to jednak polemika ze współczesnością zakończona. Odpowiedzi na wiele pytań przyniesie dalsza praktyka oświaty, jak i praktyka naszego życia społecznego.

„Prawda jest — pisze wydawca — że „takie rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie" — ale prawda jest także, zdaje się mówić ta książka — że „takie będzie młodzieży chowanie, jaka będzie rzeczpospolita". „I już choćby dlatego warto poznać refleksje Jana Szczepańskiego nad naszą oświatą, aby stały się one przyczyną naszych refleksji nad naszym społeczeństwem.

Jan Szczepański — „Refleksje nad oświatą", PIW, Warszawa — 1973, str. 202, cena: 20,— zł.

DZIŚ I JUTRO

Współczesna cywilizacja — jak zresztą każda — stworzyła podstawy dla przyszłości. Ale przyszłość jest niepoznawalna. Można w oparciu o naukowe przesłanki przewidywać to, co stanie się za lat kilka, można planować przyszłość, ale rzeczywistość będzie ją zawsze korygowała. Współczesna cywilizacja stworzyła więcej przesłanek dla przewidywania przyszłości niż było to w czasach, kiedy swoje opowieści snuł baron Münchhausen. Stworzyła **futurologię** oraz literaturę fantastyczno-naukową, gdzie racjonalne przewidywanie przyszłości miesza się z fantastycznymi wyobrażeniami i współczesnymi baśniami.

Stanisław Lem, pisarz, który sam uprawia wielce popularną i znakomitą literaturę fantastyczno-naukową, zajmuje się również teorią fantastyki i futurologii. Już po raz drugi na półkach księgarskich ukazała się jego „Fantastyka i futurologia", i jeśli odstępujemy od zasady prezentowania drugich wydań polskich publikacji, to dlatego, że jak sam autor stwierdza — jest to książka poprawiona i uzupełniona, bo przez dwa lata dzielące ją od pierwszego wydania ukazało się na świecie tyle prac na ten temat, że — po prostu — było niemożliwością ich nie względnienie.

„Fantastyka i futurologia" nie jest książką łatwą. Nie ma tu opowiadań, które dzieją się w innym wymiarze, na innych planetach, w innych układach słonecznych. Jest tu rzetelna, precyzyjna ocena tego wszystkiego, co powstało i znaczy w literaturze fantastyczno-naukowej i futurologii. Nakład: 10 000 dowodzi, że nie jest to książka przeznaczona dla węższego grona odbiorców, ale tak, że jest to **drugie** wydanie — świadczy, że ma ona jednak szerszy krąg czytelników, że jest potrzebna. Sygnalizujemy więc **drugie** wydanie „Fantastyki i futurologii" Stanisława Lema tym wszystkim, którzy interesują się nie tylko kosmicznymi przygodami wymyślonych bohaterów, ale którzy też chcą wiedzieć więcej na temat praw, jakimi posługuje się tego typu literatura.

Stanisław Lem — „Fantastyka i futurologia", Wydawnictwo Literackie — 1973, tom I i II, str. 459 i 578, cena: 140,— zł.

„NARODZINY POWIEŚCI"

W „Bibliotece Krytyki Współczesnej" ukazała się praca Iana Watta pt. „Narodziny powieści". Watt, znany i ceniony badacz literatury anglosaskiej, zajął się początkami powieści angielskiej. Wchodzą więc tu w grę powieści: Daniela Defoe, Samuela Richardsona i Henryka Fieldinga: pisarzy, którzy swoją twórczością wywarli niewątpliwy wpływ na dalszy rozwój tego gatunku literackiego.

Ian Watt poddaje gruntownej analizie nie tylko najbardziej znaczące utwory tych trzech pisarzy. Zajmuje się także związkami ich twórczości z określonymi warunkami społecznymi i ekonomicznymi — trzeba przecież pamiętać, że był to okres formowania się społeczeństwa kapitalistycznego — wiąże więc ściśle ówczesną twórczość literacką z panującymi prądami filozoficznymi.

Powieść i dziś jest najbardziej popularnym gatunkiem literackim, warto więc swoją wiedzę o tym gatunku uzupełnić wiadomościami z jego początków. Ian Watt wiadomości te podaje w sposób wielce interesujący.

Ian Watt — „Narodziny powieści", przełożyła Agnieszka Kreczmar, PIW, Warszawa — 1973, str. 402, cena: 40,— zł.

„RAGNHILDA"

Pod tym wspólnym tytułem ukazała się w „Serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich" trylogia Olava Duuna, na którą składają się trzy księgi zatytułowane: „Bliźni", „Ragnhilda" i „Ostatni rok".

Olav Duun obok Knuta Hamsuna i Sigridy Undset należy do grona najwybitniejszych prozaików norweskich. Napisał 25 powieści i kilka tomów nowel. Olav Duun do 25 roku życia pracował na norweskiej wsi: był pasterzem, rybakiem, rolnikiem. Swoje doświadczenia i obserwacje zawarł później między innymi w wydanej niedawno przez Wydawnictwo Poznańskie trylogii „Ragnhilda".

W trylogii Olava Duuna — jak zwykle w literaturze skandynawskiej — mamy do czynienia z odwiecznym konfliktem dobra i zła, z odpowiedzialnością za winę, z bohaterami o skomplikowanej i surowej psychice.

Olav Duun — „Ragnhilda", przełożyła Edyta Sicińska, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań — 1973, str. 494, cena: 45,— zł.

„DOOKOŁA TYLE CUDÓW"

W niedługim czasie Czesław Chruszczewski wydał dwie książki: „Rok 10 000" i „Dookoła tyle cudów". Są to zbiory opowiadań fantastyczno-naukowych, których akcja dzieje się w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, na Ziemi oraz na innych planetach. Niektóre opowiadania z tomiku „Dookoła tyle cudów" — wraz z tytułowym zresztą — ukazały się już w zbiorze pt. „Rok 10 000". Inne to: „Latający dywan", „Romans kosmiczny", „Był sobie król", „Czerwony kapturek", „Zupełnie nieznana planeta".

Czesław Chruszczewski uprawia rzadki gatunek filozoficznych opowiastek na tematy naukowo-fantastyczne. Więcej tu z baśni, refleksji nad współczesnością, filozoficznej zadumy nad losem człowieczym niż fantazji rozumianej tradycyjnie. Obojętnie, gdzie dzieje się akcja opowiadań Czesława Chruszczewskiego, zawsze dotyczą one człowieka i jego postawy wobec różnych sytuacji. Czytelnikowi tych opowiadań nie może być jednak obce poczucie humoru i fantazja.

B. M.

Czesław Chruszczewski — „Dookoła tyle cudów", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań — 1973, str. 197, cena: 15,— zł.

FILM

FRANCUSKI TYDZIEŃ

W Paryżu mówią raczej o „Wielkim żarciu" Marco Ferreriego oraz „Mamusi i dziwce" Jeana Eustache'a. Do Polski na Tydzień Filmów Francuskich przywieziono siedem innych historyjek filmowych, w których skandalizujący ton tamtych zastąpiony jest swoistą pikanterią tematu damsko-męskiego, pikanteria tak zresztą może odczuwaną w cnotliwej na ogół atmosferze naszego repertuaru kinowego. Tydzień Filmów Francuskich, czyli dzień zwykły ostatniego sezonu francuskiej kinematografii — ani jednego filmu wielkiego tematu, ani jednego wielkiego nazwiska bo i François Truffaut zapisał się już do cechu rzemieślników kina, oczywiście z dyplomem mistrza a nie czeladnika, bo i Eric Rohmer prezentując szóstą część swych przypowieści moralnych czyli „Miłość po południu", zadyszał się z nadmiaru cnoty.

Siedem dni w kinie wypełniło siedem opowieści zdominowanych przez miłosne perypetie, w różnym stylu zresztą prezentowane, ale nigdy zbyt serio, co, jak wiadomo, bywa również jedną z francuskich specjalności. Jedyna w reżyserskim zespole kobieta, aktorka Anna Karina, w swym realizatorskim debiucie opowieść miłosną potraktowała dość serio i pewnie dlatego jej film „Żyć razem" po niewątpliwym wdzięku pierwszej połowy, potem stał się zakalcowaty. Aż żal, iż w tych francuskich opowieściach o panach i paniach zabrakło choć jednego filmu, w którym miłość znaczyłaby wielką namiętność, bo to też przecież francuska specjalność.

Tak naprawdę to jedynym filmem, w którym doszła do głosu w kraju tym pielęgnowana umiejętność mówienia o miłości był „CEZAR I ROZALIA" Claude Sautet. Ona jedna i ich dwóch — czyli śliczna, uosabiająca kobiecość Romy Schneider, cudownie męski Yves Montand i seksownie melancholijny Samy Frey dają w filmie tym popis aktorskiej gry. Sautet zaś pięknie prowadzi ten tercet.

Francois Truffaut, którego aż trzy filmy nam zaserwowano rozczarował zapewne dlatego, że Truffaut się nazywa, a nazwisko zobowiązuje. Uprawia on dziś swe kino dość cynicznie i dał temu zresztą dość ekshibicjonistyczny wyraz w „NOCY AMERYKAŃSKIEJ", skądinąd najlepszym filmie wśród tych trzech propozycji. Film jest opowieścią o tym, jak powstaje film. Nic w nim ze spraw poszukiwań i rozterek twórczych, rzecz sprowadza się do niewątpliwie atrakcyjnej dla widzów opowieści o filmowej kuchni. Sam Truffaut gra w tym filmie reżysera, którego główną troską jest to, by film powstał, by aktorzy na planie wytrwali, dekoracje się nie zawaliły, a gotowa całość publiczności się podobała, czyli samo życie kina.

Ale już w „TAKIEJ ŁADNEJ DZIEWCZYNIE" i „DWU ANGIELKACH I KONTYNENCIE", zapobiegliwie sugeruje, że bawi się w kino. W pierwszym przypadku proponuje komedyjkę o dzieweczce lekkich obyczajów i krwiożerczych, oczywiście wobec mężczyzn, instynktach, angażując do tej roli Bernadette Lafont („Narzeczona pirata"). Truffaut wie, że publiczność lubi wulgarność a'la francaise, wobec tego firmuje ją swym nazwiskiem. Stylizując zaś „Dwie Angielki i Kontynent" na stare romansidło, uśmiecha się do nas porozumiewawczo zza ekranu i może uśmiech ten odwzajemniłibyśmy, gdyby film ten nie był tak śmiertelnie nudny. Konia z rzędem temu, kto by bez filmowej czołówki rozpoznał rękę mistrza „nowej fali", to już ręka członka filmowego cechu. Cóż z tego, że pan Truffaut w „Nocy amerykańskiej" mówi o realizowanym przez siebie filmie, że takich filmów już się nie robi. Robi się, robi i czemu w końcu by nie.

Gwiazda Jean Luc Godarda — Anna Karina — zadebiutowała jako reżyser z wdziękiem, ładnie, bardzo po kobiecemu popadając ze skrajności w skrajność. W „ŻYĆ RAZEM" zestawiła bowiem dwa modele moralności i obyczaju, znajdując w jednym i drugim uroki, lecz nie potrafiła przekonać o metamorfozie, której uległa ładnie przez nią samą zagrana bohaterka filmu. Odrodzenie przez macierzyństwo wypadło w jej filmie mniej sugestywnie niż nagłe przez miłość. Poza wszystkim Karina kino czuje i w konkurencji z wytrawnymi kolegami wyszła ręka obronną, co piszącą te słowa oczywiście cieszy.

Może trochę wstyd to wyznać, ale jedyna w całym zestawie naprawdę „moralna" opowieść, czyli film Rohmera „MIŁOŚĆ PO POŁUDNIU" zbyt budująco nie działa, chyba na skutek czystości moralnej, będącej jej duchem przewodnim. Opowieści o mężach cnotliwych same w sobie nudne nieco być muszą, tak więc i film Rohmera z grzechu tego nie uwolnił się. A przecież jego „Noc u Maud" i „Kolano Klary" — filmy z cyklu przypowieści moralnych — tak potrafiły zachwycać.

No cóż, spędzonych dni w kinie „Wisła" żałować nie ma co, jako że o miłości, paniach i panach można nieskończenie.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

„NIE IGRA SIĘ Z MIŁOŚCIĄ"

We wstępie Boya-Żeleńskiego do jego przekładu utworów Alfreda Musseta można znaleźć dykteryjkę z okresu Romantyzmu we Francji. Pewien urząd pocztowy znalazł się w niemałym kłopocie nie wiedząc komu doręczyć list adresowany: „Do największego poety we Francji". Po długich delibe cjach postanowiono przesłać list do rąk Lamartina. Skromny autor „Medytacji" przekazał szumnie zaadresowaną przesyłkę Wiktorowi Hugo. Autor „Nędzników" rozdarł energicznie ze zwykłą mu pewnością siebie kopertę i ... osłupiał już przy nagłówku: „Kochany Alfredzie!..."

Zdumienie Wiktora Hugo mogło wydać się wówczas uzasadnione, gdyż mało komu jeszcze wtedy znany Alfred Musset zamieszczał od czasu do czasu w dwutygodniku „Revue des Deux Mondes" coś w rodzaju komedii, które nie były przeznaczone dla teatru. Po klapie, jaka spotkała „Noc wenecką" debiut sceniczny Musseta, ambitny młody poeta przez długi czas unikał spotkania oko w oko z publicznością, która go wygwizdała. Natomiast ogłaszał na łamach wspomnianego wyżej dwutygodnika swoje komedie, które przechodziły raczej niezauważone. Lecz wreszcie czas, ów sędzia nierychliwy, wymierzył poecie i dramaturgowi sprawiedliwość. Musseta „Kaprysy Marianny", „Szczecznik" „Nie igra się z miłością", „Lorenzaccio" i inne utwory zaczęły ukazywać się na scenie robiąc furorę.

Dziś niejeden teatr sięga, i to dosyć często, po urocze komedie Musseta. Niezaprzeczalna wartość tych utworów „nie przeznaczonych na scenę" polega na ich oryginalności i liryzmie, pozbawionym cienia mnoderii. Są to najczystsze transpozycje uczuć i doświadczeń miłosnych Musseta, w których można gdzieniegdzie dosłyszeć pogłosy słynnego romansu z panią George Sand, przeniesionych ze swobodnej (niekrępowanej „warunkami sceny") autentycznej inspiracji poety na deski teatru. To może zadziwiać i wzbudzać zainteresowanie. Dlatego z całej romantycznej plejady dramaturgów z majstrem tabuły scenicznej Dumasem (ojcem), z patetycznym i nielatwym dziś do czytania, a cóż dopiero do oglądania na scenie! Wiktorem Hugo, z pełnym goryczy („Chatterton") Alfredem de Vigny, tylko twórczość autora „Nie igra się z miłością" i jego innych komedii należy zaliczyć, zdaniem wybitnego literaturoznawcy Gustawa Lansona, do kwintesencji francuskiego romantyzmu, w którym zachowały one świeżość i młodość.

Czy wszakże ten pogląd znajduje dziś potwierdzenie? Biorąc pod uwagę, że Lanson pisał swoją głośną „Historię literatury francuskiej" w pierwszej ćwierci naszego stulecia, upływ czasu (bez mała pół wieku) spowodował zmiany w naszych gustach i poglądach na sztukę teatralną. Dlatego niełatwo oprzeć się wątpliwości, czy „Nie igra się z miłością" nie jest już dla nas — poetyczną wprawdzie, lecz w niektórych scenach (jak rywalizacja pieczeniarzy, proboszcza Bridaine z nauczycielem Blazjuszem) — miłą tylko i trochę wyblakłą komedią, odbiegającą od głębiej pojętych wymagań współczesnej publiczności?

Nie mniej, wybór tej sztuki Musseta przez Teatr Ziemi Łódzkiej należy uznać za trafny. A to i dlatego, że jeśli dodać do wymienionych już walorów komedii wyczucie psychologiczne poety, żywe postacie i finezyjny dialog, to trzeba się zgodzić, że „Nie igra się z miłością" może być atrakcyjną i kulturalną rozrywką. Ale już chyba i niczym więcej.

Najciekawszą postacią komedii wydaje się Oktav, dotknięty ówczesną „chorobą wieku", typową dla młodych ludzi pierwszej połowy XIX wieku. Młodzian ów w nic nie wierzy i przerzuca się od jednego do drugiego, skrajnie odmiennego nastroju. W interpretacji JANUSZA DZIUBIŃSKIEGO postać Oktava posiadała za dużo marzycielstwa, a za mało romantycznego rozwichrzenia i może dlatego efektownej w czytaniu diatrybie: „Wszyscy mężczyźni to kłamcy..." itd. zabrakło pasji i gwałtowności. Dobrze prezentowała w roli Kamilli jej panieńskie uprzedzenia i późniejsze niepokoje miłosne BARBARA DZIDO-LELIŃSKA. STANISŁAW MARIAN KAMIŃSKI zagrał komediowego Barona jak postać z farsy i zbierał oklaski. Obok Barbary Dzido-Lelińskiej najbliższa teatrowi Musseta była EWA MARIA HES jako Rozalka. W pozostałych rolach wystąpili Danuta Cwynarówna, Włodzimierz Tympalski, Henryk Dudziński, Sabina Mielczarek i Tadeusz Kożusznik.

„Nie igra się z miłością" to osobliwa komedia, która kończy się dramatycznie. Sadze, że idea nadrzędna utworu nie została konsekwentnie zrealizowana w przebiegu akcji prowadzącej do dramatycznego finału.

Scenografia w zamierzeniu ANNY BOBROWSKIEJ EKIERT miała nam przybliż. komedię Musseta przez przemieszanie u-biorów współczesnych z kostiumami stylizowanymi według XIX-wiecznej mody. Szkoda jednak, że w dekoracjach nie otrzymaliśmy delikatniejszego, ledwie zaznaczonego tła, które by lepiej harmonizowało z lirycznym nastrojem Mussetowskiej poetyki.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„Nie igra się z miłością" zostało przygotowane na jubileusz 25-lecia pracy artystycznej zasłużonego reżysera i dyrektora teatru, Jana Perza.

MUZYKA

STUDENCKI DEBIUT

Spektakle operowe w wykonaniu studentów klas wokalnych łódzkich szkół muzycznych mają swą długą tradycję. Dość przypomnieć, że utworzona w r. 1954 Opera Łódzka, poprzedniczka Teatru Wielkiego powstała w oparciu o gotowe przedstawienie „Strasznego Dworu", przygotowane całkowicie siłami uczniów i studentów Państwowej Średniej i Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi pod kierunkiem prof. WŁADYSŁAWA RACZKOWSKIEGO, ówczesnego dziekana wydziału wokalnego PWSM. Kroniki uczelni notują wiele innych wieczorów operowych pełnospektaklowych lub też mieszanych, na których wykonano poszczególne akty różnych oper.

„Wesele Figara" jest pierwszym spektaklem operowym, zrealizowanym przez powstały przed czterema laty wydział wokalno-aktorski PWSM. Specyfika tego wydziału są odmienne kryteria przyjęcia, gdyż nie wymaga się dyplomu szkoły muzycznej niższego stopnia oraz znaczne rozszerzenie kształcenia aktorskiego. Spektakl zrealizowany w Teatrze Wielkim przy współudziale orkiestry tegoż teatru, był pierwszą poważną imprezą wydziału, a zarazem publicznym sprawdzianem nowego eksperymentalnego systemu przygotowania młodych kadr dla teatrów muzycznych. Bo to jednakże sprawdzian cząstkowy. Współczesny repertuar teatru muzycznego (opera, operetka, musical) jest tak bogaty i różnorodny, że dopiero szereg różnych pod względem stylistycznym i gatunkowym imprez mógłby dać pełną odpowiedź na pytanie, czy i w jakim stopniu nowy system kształcenia na wydziałach wokalno-aktorskich spełnia pokładane nadzieje. Niemniej, już na podstawie „Wesela Figara" można wysnuć pewne wnioski.

To dobrze, że na pierwszy ogień wzięto trudną i odpowiedzialną operę Mozarta. Śpiew klasyczny jest najlepszą szkołą wokalną, wymaga też rzetelnych umiejętności i nie daje okazji do łatwych sukcesów, które często u progu kariery niszczą najlepsze talenty. W „Weselu Figara" na ogół wszyscy wykonawcy stanęli na poziomie i sprostali trudnym wymaganiom. Pierwszą refleksją, narzucającą się po obejrzeniu i wysłuchaniu spektaklu jest stwierdzenie widocznych pozytywnych rezultatów kształcenia w sztuce teatralnej — umiejętności swobodnego poruszania się na scenie i interpretacji recitatywów. Bez tego najbardziej nawet sumienny i pracowity reżyser nie uzyskałby takich wyników. Bo — o dziwo — recitatywy, ta achillesowa pięta niejednego spektaklu w zawodowych teatrach muzycznych, wypadły lepiej niż arie i ensamble. Wiąże się to nie tyle z umiejętnościami wokalnymi, bo ich poziom jest już dość wysoki — w niektórych wypadkach zdumiewająco wysoki — ile z jakością materiału głosowego, który — mam tu na myśli cały zespół solistów występujących w tej operze — nie jest zbyt bogaty, a i nie zawsze też w pełni uformowany.

Zdaję tu sobie sprawę z ryzykowności takiego stwierdzenia. Nie wszyscy bowiem pokonali obezwładniającą tremę, która niekorzystnie wpłynęła na brzmienie głosu. Z drugiej strony nie bez wpływu była tu pewna tendencja do bardzo powściągliwego śpiewania Mozarta, do zawężania dynamiki głosu, co w przekonaniu znacznej części artystów, nie tylko zresztą polskich, jest podstawowym kanonem wykonawczym stylu mozartowskiego. Ta tendencja — według mnie niesłuszna — zaważyła też, jak sądzę, na omawianym przeze mnie wykonaniu „Wesela Figara" — deformując obraz rzeczywistych możliwości wokalnych młodych śpiewaków. Sprawa druga to przyzwyczajenie do śpiewania w stosunkowo małych salach, gdzie nawet niewielkie głosy wydają się duże. Przejście do wielkiej sali powoduje wtedy dezorientację co do rzeczywistej siły brzmienia. Jest to jeszcze jeden argument przemawiający za koniecznością szybkiego wybudowania sali koncertowej w łódzkiej uczelni muzycznej.

Urok autentycznego przeżycia i żarliwego zaangażowania nieskażonego rutyną, młodość połączona z pewną już artystyczną dojrzałością, oto walory tego przedstawienia, które z miejsca zyskało życzliwość publiczności niezmiernie żywo przyjmującej każdą arię, scenę, czy zespół. Bardzo miły nastrój stworzyła młodzież studencka, żywiołowo dopingująca swych kolegów na scenie.

Aż czterech studentów grało postać tytułową Figara. Jest to partia przeznaczona w zasadzie na bas, bądź bas-baryton, toteż pod względem wokalnym jedynie ANDRZEJ MALINOWSKI, śpiewający w IV akcie mógł w pełni sprostać jej wymogom. Obsadzenie trzech pozostałych aktów barytonami było krokiem ryzykownym.

Duży stopień artystycznej dojrzałości cechuje grę i śpiew BARBARY MINOŁ, która w roli Hrabiny pokazała dobrze postawiony, piękny choć nieco zawoalowany głos i wrażliwą muzykalność. Zarazem jednak sprawiała wrażenie, że nie rozwija pełnego wolumenu głosu. Także ujęcie postaci Hrabiny, zbyt poważnej i cierpiętliwej nie wydaje mi się najwłaściwsze. Druga Hrabina, EWA RADZIKOWSKA, występująca w pozbawionym arii IV akcie, nie miała większych możliwości zademonstrowania pięknego głosu i sporych już umiejętności. Nie dzieliła z nikim swej partii ELŻBIETA GOŁĄB. Jako Zuzanna ujawniła przede wszystkim duży talent wdzięk sceniczny. Śpiewała muzykalnie z łatwością operując głosem o dużej elastyczności, brzmiącym jeszcze niekiedy w górze zbyt surowo. Niewątpliwy talent sceniczny ma również, ELŻBIETA BORZĘCKA (Cherubin). Popisała się w pierwszej arii, nie jest jednak wokalnie zupełnie dojrzała i zdradza tendencje do podwyższonej intonacji.

Z obydwu odtwórców roli hrabiego Almavivy ADAM KOZIOŁEK wykazał więcej swobody scenicznej, zaś MAREK ZIEMNIEWICZ lepiej panował nad głosem. Czyż jednak można się dziwić, że po raz pierwszy występując na prawdziwej scenie nie wszyscy potrafią czuć się zupełnie swobodnie.

Z wykonawców pozostałych ról wyróżniłbym w pierwszym rzędzie JADWIGĘ PADUCH w roli Barbariny, dysponującą pięknym dźwięcznym głosem, a także DANIELA SAULSKIEGO w roli don Basilia. Reprezentująca najwyższy w całej obsadzie poziom umiejętności wokalnych bardzo muzykalna KRYSTYNA RORBACH czuła się chyba nieszczególnie w fatalnym kostiumie i nie najlepszej charakteryzacji, co chyba zaważyło na tym, że jako Marcelina nie odniosła większego sukcesu. Postać ta zresztą wyraźnie nie odpowiada tej indywidualności. Bez zarzutu wywiązali się ze swych zadań MICHAŁ DROŚ, JERZY JÓŹWIAK, WIESŁAW ŁAGIEWKA, PAWEŁ KULECZKA, BOGUSŁAW PARCHIMOWICZ, ANDRZEJ CHMIELARZ i MICHAŁ KULECZKA.

W inscenizacji „Wesele Figara" zabrakło chóru, co nie przyniosło wprawdzie większego uszczerbku samej operze, bardzo jednak przydałoby się samym studentom, którzy biorąc udział w zespole chóralnym mogliby nabywać niezbędnego obycia się ze sceną, zwłaszcza że współczesny teatr operowy nie traktuje chóru jako anonimowej masy, lecz preferuje zindywidualizowane grupy.

Przedstawienie było bardzo starannie przygotowane od strony reżyserskiej przez ANTONIEGO MAJAKA, który zresztą słusznie nie stawiał wykonawcom zadań zbyt skomplikowanych, ograniczony z drugiej strony w swoich możliwościach nader skromnymi środkami oprawy scenograficznej, zaprojektowanej przez HALINĘ KORYTOWSKĄ.

Spektakl przygotował i prowadził bardzo czujnie MIECZYSŁAW WOJCIECHOWSKI. Grała orkiestra Teatru Wielkiego, która w ciągu trzech prób zaledwie przygotowała operę. Zespół złożony w większości z absolwentów i studentów tej samej szkoły stara się grać jak najlepiej. Poza kilkoma fragmentami, w których nieco zagłuszał solistów, udało mu się to bardzo dobrze.

ZYGMUNT GZELLA

30 PANÓW UPOWSZECHNIA SIĘ WZAJEMNIE...

Wpadł mi w ręce komplet nut, tzw. fortepianówka, odbita na powielaczu i zawierająca dwa utwory jakiegoś pana Erwina Wanderki. Utwory noszą tytuły: „Halo, mała" i „Pokusa". Nie znam się na nutach i może by mnie nie zainteresował ten druczek, gdyby nie reklamówka na ostatniej stronie.

Widnieje tam haselko, które głosi: „Rozpowszechniajcie utwory polskich kompozytorów". Jak mi powiedziano — owa fortepianówka jest przeznaczona dla orkiestr prowadzących tzw. działalność rozrywkową w knajpach. Nie mam nic przeciwko rozpowszechnianiu utworów polskich kompozytorów wśród dancingowej publiki. Samo hasło podoba mi się.

Gorzej z tym, co przeczytałem dalej. Dalej bowiem wypisano trzydzieści nazwisk polskich kompozytorów, których utwory należy upowszechniać. Myślicie może, że jest tam nazwisko Marka Sewena albo Jacka Szczygła? Otóż nie! Są to nazwiska panów Z. Mikosia i S. Trzeciaka. A może jest nazwisko Jerzego Abratowskiego lub Adama Skorupki? Otóż nie! Są za to nazwiska panów Cz. Cupaka i R. Gorzelniaka.

Nie ma Ptaszyna-Wróblewskiego, Kopffa, Sarta, Nahornego, Figla, Bogdanowicza, Piętowskiego... Słowem nie ma a n i j e d n e g o z polskich kompozytorów, którzy tworzą współczesną polską muzykę rozrywkową. Nie ma i już! Hasło „upowszechniajcie utwory kompozytorów polskich" odnosi się wyłącznie do panów: E. Wanderki, G Hopfera, K. Deckerta, R. Bodnara, J. Babiaka, B. Ścięgosza, Z. Adamczyka, Al. Początka, S. Kapisza... i jeszcze paru, których nazwiska są raczej mało znane lub doskonale n i e z n a n e.

Oczywiście, wiem, że ktoś tu robi prywatną reklamę sobie i swoim kolegom, wiem, oczywiście, że klezmerska fortepianówka to nie almanach polskiej muzyki rozrywkowej. Trochę mniej jednak irytuje ta chucpa z nachalnym reklamowaniem tych podejrzanych utworów. Piszę „podejrzanych", bowiem są to najczęściej utwory, które poza taneczny krąg knajpowego dancingu raczej nie trafiają, których nikt zapewne nie weryfikuje poza samymi twórcami. A twórcy są zainteresowani w obrotach i protokołach ZAIKS-u, nie w randze artystycznej utworów.

Nawiasem mówiąc spis tytułów owej produkcji muzycznej to osobna sprawa. Czegóż tam nie mamy!

Jeśli chodzi o kolory — mamy całą tęczę: „Bury kot", „Zielony maj", „Błękitna begina", „Biała rumba", „Czarna róża", „Rudy księżyc", „Złote medale", „Szary zaułek"...

Jest też nieco egzotyki: „Colorado", „Zorrita", „Gringo", „Cabaza", „Sonor 71", „Astarte", „Columbia"... Nieobce są również panom kompozytorom sprawy współczesności. Znalazłem takie utwory, jak „Trzech kosmonautów", „Rakietą w kosmos", „Polecimy ku gwiazdom"... Znajdzie się także coś dla pań, jest „Alunia", „Figlarna Terenia", „Jagodowa Kaśka", „Zazdrosna Lena", „Maleńka Lilunia"... Oczywiście nie zabrakło „Gorących ust", Słotnej jesieni" i „Kwitnącej azalii"...

Jeśli utwory są równie grafomańskie jak tytuły, to można pogratulować.

Pisząc o tym, dotykam sprawy, wbrew pozorom, dość istotnej. Wiadomo, że utwory wartościowe i popularne grane są w paru tysiącach knajp prowadzących tzw. działalność rozrywkową. Czy jednak trafiają do protokołów ZAIKS-u? To już druga sprawa. Nikt nie jest w stanie tego sprawdzić i, co gorsza — nie ma nawet technicznej możliwości takiej kontroli. Jeśli więc jeszcze na dodatek zupełnie jawnie nawołuje się do „upowszechniania" utworów nieznanych muzyków kosztem, nie czarujmy się, utworów popularnych, które i tak są wykonywane, bo żąda tego dansingowa publika, to taki interes jest, delikatnie mówiąc — bezczelnością.

Trudno mieć coś przeciwko temu, że kompozytor odbija sobie na powielaczu, czy kserografie partytury swoich utworów. To jego sprawa, nawet jeśli utwory są mierne. Ale ta chucpiarska reklama pomijająca utwory naprawdę wartościowe na rzecz różnych „Aluni" i „Gorących ust" sprawia wrażenie zorganizowanej działalności. Twórca „Pokusy" proponuje do rozpowszechnienia na swojej partyturze 13 swoich utworów oraz od dwóch do czterech utworów innych panów. Przypuszczam, że na partyturach innych kompozytorów proporcje są odwrotne. W ten sposób wśród dancingowych orkiestr krąży jakieś 100 wciąż tych samych utworów. I tak trzydziestu panów upowszechnia się wzajemnie pod pretekstem upowszechniania polskiej muzyki rozrywkowej.

WIDOK

FRYZURY

ANDRZEJ GRUN

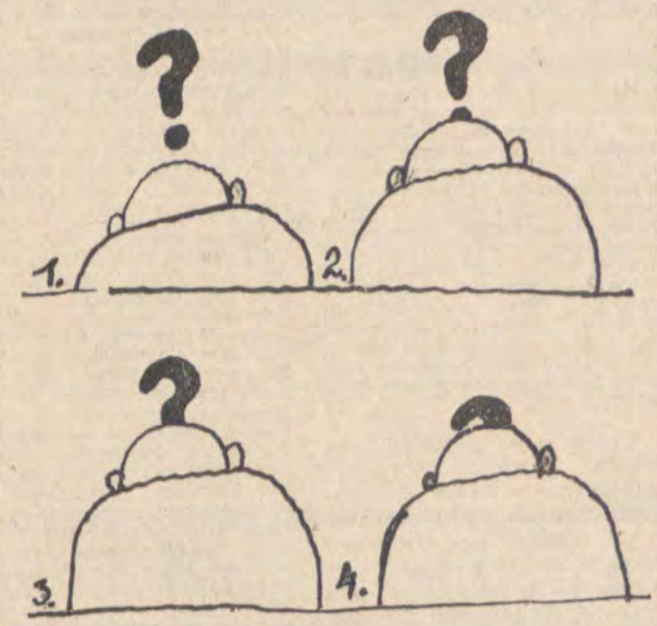

PAN MICHAŁ I INNI

Zebraliśmy się u Doktora, aby zagrać w karty. Dzień był deszczowy, wiał wiatr. Idealna pogoda na karty, jeśli w dodatku na stole stoi butelka winiaku i taca z kanapkami. Grałem razem z Doktorem, przeciw Inżynierowi i Magistrowi. Ale Inżynierowi karta nie szła.

— Musimy grać w karty? — zapytał w pewnym momencie, kiedy na koncie miał już dwa przegrane robry.

— Skorośmy się tu po to zebrali, to grajmy — wyjaśnił logicznie Magister, jako że miał na koncie dwa wygrane robry.

— Ale mały relaks nam nie zaszkodzi — stwierdził gospodarz i wyciągnął następną flaszkę winiaku rodzimej produkcji.

Wypiliśmy po kieliszku i zaczęliśmy „zbawiać Polskę". Inżynier zaczął narzekać na bałagan w jego fabryce. Wyjaśnił nam, że wszystko niby jest, plan mają dobrze opracowany, a kiedy przychodzi do jego realizacji, wyskakują takie rzeczy, że tylko za głowę się brać i zaraz potem ręce rozkładać z rozpaczy. W końcu wszystko wychodzi, jak trzeba, ale ile się wszyscy naszarpią, to naszarpią. — Czy nie można inaczej? — pytał Inżynier. Pytanie było oczywiście retoryczne, bo wszyscy wiedzieli, że można i nadal wiemy, że można, a nawet — więcej — trzeba.

— Bo niektórym się nie chce — powiedział Magister.

— Bo organizacja pracy jest zła — powiedział Doktor.

— Ale tam — upierał się Magister — organizacja, organizacja, a przecież i tak o wszystkim decydują ludzie.

— To też prawda — powiedział Doktor. — Weźmy na przykład Pana Michała.

— Kogo? — zapytałem. — Nie znam.

— Nie znacie — wyjaśnił Doktor. — Mieszka w naszym wieżowcu. A czy wiecie, że u nas nigdy winda nie jest dłużej zepsuta niż godzinę? A dlaczego? Bo Pan Michał zaraz dzwoni, gdzie trzeba, przychodzą specjaliści i reperują. Byłem teraz niedawno u znajomych w nowym bloku i patrzę światło na klatce schodowej popsute, miga, mruga, jak się włączy automat. Pytam znajomych: — dawno? — A — mówią — już dwa tygodnie. — To dlaczego nie interweniujecie? — pytam dalej. — Po co — mówią — przecież Gospodarz Domu wie o tym i nic nie radzi. Pomyślałem sobie wtedy, że gdyby tam mieszkał Pan Michał, to światło na klatce schodowej byłoby dawno zreperowane.

— Dobrze jest mieszkać w jednym domu z Panem Michałem — stwierdził nagle melancholijnie Inżynier.

— No właśnie — ucieszył się Doktor. — Pan Michał jest niezastąpiony. To urodzony działacz, człowiek pełen inicjatywy, pomysłowości, który nie może przejść obojętnie koło żadnego wydarzenia. Kiedyś zdarzyła się na naszym osiedlu awaria. Przyjechały ekipy remontowe, popatrzyli, pokiwali głowami i pojechali. Ale Pan Michał nie przepuścił. Poszedł do budki z telefonem, zadzwonił do DRN, do samego przewodniczącego i ściągnął go na miejsce. Wyobraźcie sobie, że przewodniczący, który ma przecież stale wiele roboty, przyjechał i załatwił całą sprawę od ręki. Ekipy remontowe wróciły, nikt już nie kiwał głową, tylko wzięli się energicznie do roboty. I zrobili.

— U nas mieszka jeden Rencista — stwierdził Magister — on ma dużo czasu i on też próbuje zajmować się pracą społeczną w osiedlu.

— I co? — zainteresował się Inżynier.

— Niewiele. Jemu to jakoś nie wychodzi. On sobie lubi pogadać. Chodzi i opowiada wszystkim, co by to można było zrobić, ile to można zmienić, usprawnić. Ma niekiedy dobre nawet pomysły.

— U nas wszyscy najchętniej lubią gadać — zgodził się Inżynier i opowiedział, jak to u nich w fabryce ciągle jeszcze więcej odbywa się narad, spotkań i konferencji niż potrzeba i jak z tego gadania najczęściej nic nie wynika.

— Gadulstwo jest nasza narodowa wada — powiedziałem. — My teraz też nic innego nie robimy tylko gadamy.

— Ale my gadamy na towarzyskim spotkaniu, a nie zamiast pracować. Nie w godzinach pracy — oburzył się Inżynier. — Przecież, jak ja siedzę na konferencji, to za mnie nikt nie pracuje. W dodatku, żeby to jeszcze była potrzebna konferencja, z której wynikałyby konkretne postanowienia, ale najczęściej są to postulaty pod adresem nadrzędnej jednostki, nad którymi w tej jednostce obraduje się po kilka godzin.

— Z pożytkiem? — zapytał Magister.

— Najczęściej bez.

— Ale plan posiedzeń i narad macie wyrobiony z nadwyżką — stwierdził Doktor.

— Nie wiem — przyznał się Inżynier — chociaż wiem, że w ubiegłym tygodniu codziennie byłem na jakimś posiedzeniu, a Premier dość dawno wydał zarządzenie, że radzić można tylko w określone dni i to wtedy, jeśli taka narada ma coś przynieść pożytecznego. Ale o tym zarządzeniu niektórzy już zapomnieli.

— A ten wasz Pan Michał to emeryt? — zapytał nagle Magister.

— Nie — powiedział Doktor — to majster od „Strzelczyka". I on bardzo nie lubi zebrań, on po prostu musi działać, nie potrafi być obojętnym.

— No to może byśmy zagrali — zaproponował Magister.

Wracałem nocnym tramwajem. Już w domu przypomniałem sobie, że rano mam poważną naradę w sprawie usprawnienia pracy. Na tej naradzie nie będzie Pana Michała, który zrobiłby za nas to i owo. To nawet dobrze, bo lepiej jednak nie oglądać się na tego Pana, tylko samemu wziąć się do rzetelnej roboty. A przede wszystkim mniej gadać o tym, że trzeba dobrze pracować.

RODAK

POLIGON NA ULICY

Nikt nie kocha ulicy Wigury. Wszyscy kochają i popierają rozwój motoryzacji. Polska zsiada z konia i sadowi się za kierownicą „Fiatów", „Syrenek", „Warszaw" oraz innych automobili z importu. I słusznie, trzeba zrobić krok do przodu, żeby ci z KK nie gadali, że my wciąż odstajemy i odstajemy. Trzeba wreszcie skończyć z tym paliwem obrokowym! Chociaż wyziew po obroku mniej groźny niż smród spalinowy...

Nikt nie kocha ulicy Wigury. Ulica Wigury nie kocha smrodu spalin ani decybeli, bo wie dobrze, że dziś każdy nerwowy, więc po pracy powinien mieć dużo spokoju. Tymczasem z ulicy Wigury uczyniono poligon doświadczalny. Coś na wzór komory gazowej, połączonej z wielką blaszaną trumną, w której wyjąc potępieńczo walczą bandy kościotrupów.

Tam jest tak: pomijając domy obsadzone przez przyzwoitych i cierpliwych lokatorów, po parzystej stronie ulicy, na króciutkim odcinku między Piotrkowską i Sienkiewicza znajdują się m. in. Państwowe Przedszkole nr 104, Szkoła Podstawowa nr 14 oraz żłobek i przedszkole Zakładów Pończoszniczych im. M. Buczka. Na rogu Wigury i Sienkiewicza mieści się szpital im. L. Pasteura.

Po stronie nieparzystej też są domy mieszkalne, ale najważniejszym obiektem jest tutaj zakład Technicznej Obsługi Samochodów Okręgu Łódzkiego, reprezentowany przez Terenową Stację Obsługi nr 20. I właśnie tego TOS ulica Wigury najbardziej nie kocha. Od godziny 6.00 rano do godziny 22.00 wieczorem odchodzą tutaj naprawy samochodów z silnikami, które fachowo nazywają się dwutaktami. Spaliny z tych dwutaktów są podobno najcholerniejszą trutką doby cywilizacji.

Ale co tam spaliny! Jeszcze gorsze są decybele, po remoncie bowiem samochody wyjeżdżają na poligon próbny, czyli na ulice Wigury, prują w te i wewte, od Piotrkowskiej do Sienkiewicza, powodując trzęsienie murów i dzwonienie szyb w oknach. Ludzie znoszą zgrzyty, piski, rosnącą do granic wytrzymałości wibrację silników, gdyż kierowcy muszą należycie sprawdzić biegi, hamowanie, gaźniki, aby klient był zadowolony.

Od Piotrkowskiej do Sienkiewicza parzysta strona Wigury zapchana samochodami (począwszy od postoju taksówek), przeto już przedszkole ogrodzone jest łańcuchami. Przedszkolaki wdychają spaliny i wskutek postępu motoryzacji skazane są na dwóje ze śpiewu, gdyż tępieje im słuch.

Mieszkańcy czteropiętrowego bloku, stojącego na wprost TOS otępiali już całkowicie. Kołatali do wszelkich kompetentnych władz z prośbą o usunięcie smrodliwo-hukliwego sąsiada, lecz nic nie wskórali. Więc pytają, czy by chociaż nie można ograniczyć parkowania samochodów pod ich oknami i bramą, gdyż nie idzie już o to, że nie mogą wyjechać z domu własnymi samochodami, ale że i okna nie da się uchylić w lecie, bo każdemu, zwłaszcza tym z parteru, grozi śmierć gazowa.

TOS warsztaty ma parterowe, a na nich wyciągi, które wypluwają spaliny na ulicę. TOS ma też komin, sięgający drugiego piętra. Opowiadał mi dyrektor „Agroprojektu", inż. Br. Wawrzyniak, mieszkający na drugim piętrze bloku przy ul. Wigury 8, że on nawet zimą może się opalać na Murzyna. Wystarczy, by otworzył okno i by powiał wiatr od katedry, a zaraz robi się ciemno, w mieszkaniu pełno dymu i sadzy.

Szkoła Podstawowa nr 14 też jest ogrodzona od ulicy łańcuchami, gdyż mieszczące się naprzeciw Wojewódzkie Przedsiębiorstwo PKS urządziło przed nią zastrzeżony wyłącznie dla siebie parking.

— Proszę pana — pytają mnie — jest na rogu Piotrkowskiej i Wigury duży parking?

— Jest?

— To po jasną cholerę robi się parkin jeszcze przed szkołą?

Pewnie po to, myśle sobie, że TOS za mało truje. I po to, żeby dzieci przyzwyczajały się do większej duchoty z myślą o przyszłości. Podczas przerw sal się nie wietrzy, bo czym wietrzyć? Spalinami? W zamian podczas lekcji dzieciaki mogą sobie podpowiadać ile wlezie, ponieważ jazgot i wycie wszystko przytłumią. Przyzwyczają się do tego również mieszkańcy wieżowca, który buduje się w pobliżu.

A chorzy ze szpitala im. Pasteura też chyba są wdzięczni, gdyż odrętwieni hałasem mniej boleśnie znoszą cierpienia i nie słyszą nawet syren karetek jadących do szpitala i do pobliskiego Pogotowia na Sienkiewicza. Żeby zaś wszystko było zgodne z przepisami tablicę oznaczającą szpital nie umieszczono przy wjeździe do ul. Wigury, lecz na ul. Sienkiewicza...

Nie liczyłem, ile długości może mieć ul. Wigury, ale chyba odcinek od Piotrkowskiej do Sienkiewicza liczy najwyżej 150 metrów. Na tym skrawku od lat skazane są na trucie i ogłuszanie setki dorosłych i dzieci. Nikt temu nie zapobiega. Dlatego póki co przyłączam się do odmawianej przez mieszkańców ul. Wigury litanii na intencję rozwiązania tosowskiego piekła.

GONTAL

Małżeństwo matematyki z historią

Małżeństwo matematyki z historią jest wciąż jeszcze bardzo młode i liczy sobie niewiele więcej, niż dziesięć lat. Mimo to nie ma zamiaru się rozwodzić, a rozwija się w zgodzie i coraz intensywniej rodzi swoje intelektualne potomstwo w postaci licznych już dzisiaj prac, powstałych w wyniku zastosowania nowoczesnych maszyn i technik obliczeniowych do badań historycznych. My w Polsce jesteśmy raczej kibicami, niż zawodnikami w tej pasjonującej grze o nowoczesność w historii, skoro nasz udział jest tu więcej niż skromny w porównaniu z tym wszystkim, co dokonuje się w krajach od nas zamożniejszych, zarówno na Wschodzie jak na Zachodzie. Wiadomo — nowoczesność kosztuje i komputery oddaje się do dyspozycji historyków wtedy, kiedy inni już je dawno mają.

Na czele w badaniach historycznych, prowadzonych przy pomocy nowoczesnych maszyn liczących, znajduje się dziś przede wszystkim — w naszym obozie — nauka radziecka, na Zachodzie zaś amerykańska i francuska. O osiągnięciach badaczy francuskich i amerykańskich pisałem niedawno, brakowało mi wówczas bardziej dokładnych informacji dotyczących badań radzieckich podejmowanych w kilku ośrodkach naukowych. Dzisiaj lukę tę można zapełnić, a to dzięki opublikowanemu przez Akademię Nauk ZSRR tomowi opatrzonemu tytułem: „Metody matematyczne w badaniach historycznych", który jest owocem prac specjalnej komisji do zastosowania metody matematycznych i elektronicznych maszyn cyfrowych w badaniach historycznych, uzyskanych w latach 1968—1970. Jest to pierwsza zbiorcza radziecka publikacja tego rodzaju.

„Jeszcze 8—10 lat temu prace, poświęcone zastosowaniu metod matematycznych w badaniach historycznych były na świecie niezmiernie rzadkie — pisze na wstępie do tego tomu J. L. Biesmiertnyj. — Te nieliczne, jakie się ukazywały, dotyczyły w większości wypadków w szczególności sposobów opracowania materiału liczbowego w takich wyspecjalizowanych dyscyplinach historycznych, jak demografia, archeologia, chronologia czy etnografia".

Inne dziedziny historii, w tym nawet najbardziej podstawowe, wykazywały nikłe zainteresowanie dla tych naukowych nowinek. Zasadniczy przełom nastąpił w latach sześćdziesiątych i był udziałem nauki wielu krajów. Na stoły obrad naukowych konferencji, poświęconych wyłącznie nowej problematyce (bodaj pierwszym było czasopismo „Computers and the Humanities", wydawane przez uniwersytet nowojorski od 1960 r.), coraz częściej trafiały już nie tylko rozważania o możliwościach i potrzebach, związanych z zastosowaniami nowych metod i technik, ale konkretne rezultaty badań już prowadzonych bądź zrealizowanych. Znaczne wrażenie wywarły wówczas komentowane w piśmiennictwie zachodnim, częściowo też tłumaczone na obce języki pierwsze prace uczonych radzieckich, przynoszące wyniki zrealizowanych już badań, których autorami byli J. Kachk, I. D. Kowalczenko, Ch. Łyga i W. A. Ustinow. Prawdziwa eksplozja zainteresowania historyków nie tylko dla nowych technik i metod, lecz przede wszystkim konkretnych rezultatów naukowych, jakie dało się za ich pomocą uzyskać oraz kolosalnych możliwości, jakie one przynoszą, nastąpiła na XIII Międzynarodowym Zjeździe Historyków i V Międzynarodowym Kongresie Historii Gospodarczej, które odbyły się w Związku Radzieckim w 1970 r.

Historycy różnych szkół i kierunków rozmaicie odpowiadają na pytanie, jakie są przyczyny owego tak rozwijającego się dziś zastosowywania metod matematycznych w badaniach historycznych — powiada J. L. Biessmiertnyj.

„Zwolennicy neokantowskiej interpretacji rozwoju społecznego jak wiadomo odrzucają owocność zastosowań metod matematyczno-statystycznych w pracach historyków. Rozpatrując dzieje jako zbiór indywidualnych i niepowtarzalnych zjawisk nie przywiązują oni większej wagi do badań ilościowych. Przeciwnie, niektórzy historycy, hołdujący nurtowi neopozytywistycznemu, skłonni są do absolutyzowania znaczenia metod matematycznych. Analiza statystyczna wydaje się im być głównym instrumentem poznawczym, przy pomocy którego niemal automatycznie ma się dać rozszyfrować istota zjawisk społecznych".

Stanowisko uczonych radzieckich unika obu tych skrajności. Przywiązując duże znaczenie do badań ilościowych są oni dalecy od mniemania, iż komputeryzacja warsztatu historycznego pozwala na rozstrzygnięcie wszystkich problemów nauki historycznej. Akcentują z całą mocą, że nowe metody dostarczają ważkich instrumentów badawczych dla poznania wielkich problemów dziejów gospodarczych, społecznych itd., że umożliwiają wykrycie związków niedostrzegalnych w tradycyjnym warsztacie historiografii.

Ale przecież maszyny same z siebie nie są władne dokonać żadnej rewolucji, skoro wszystko zależy nie tyle od technik, ile od kwestionariusza pytań, jakie uczony sobie postawi przystępując do badań przy pomocy nowych środków. Przykładów błędnego postawienia pytań jest dziś już wiele i wówczas nowoczesna technika obliczeniowa może służyć dla udowodnienia... truizmu. Uczeni radzieccy prezentują bardzo szeroki wachlarz zastosowań nowoczesnych technik obliczeniowych do badań historycznych: oprócz historii społeczno-gospodarczej objęli nimi historię kultury duchowej, a nawet historiografii.

LEKTOR

MA·GA·ZY·NEK

PISMA JAWAHARLALA NEHRU

Pisma Jawaharlala Nehru (1889—1964) przygotowuje do publikacji moskiewskie wydawnictwo „Progress". Nehru — jak wiadomo — był wybitnym mężem stanu Indii, działaczem niepodległościowym, przywódcą Indyjskiego Kongresu Narodowego, a od 1947 roku premierem Indii. Więziony przez Anglików pisał do swej córki Indiry Gandhi (obecny premier Indii) listy w których wyłożył swój pogląd na historię, od powstania pierwszych cywilizacji aż do początków drugiej wojny światowej. Listów tych jest 196. W przejrzystej formie Nehru dał zarys zagadnień historii nie tylko politycznej, ale ekonomicznej, socjalnej, dał zarys powstawania społeczeństw klasowych oraz kultury i sztuki różnych narodów. Znalazło się tu także omówienie konfliktów narodowych, społecznych i religijnych. Nehru wypowiedział się w swym dziele jako zdecydowany przeciwnik wojen i militaryzmu, jako wróg imperializmu i kolonializmu. Listy Nehru wykazują dużą znajomość klasyków marksizmu jak i teorii marksistowskiej. Wiele stron autor poświęcił postaci Lenina oraz Rewolucji Październikowej.

Wydawnictwo „Progress" publikuje „Spojrzenie na historię powszechną" w formie trzech tomów. Pierwszy tom poprzedza wstęp Indiry Gandhi w której córka Nehru, premier Indii, wita z uznaniem publikcję swego ojca w Związku Radzieckim zaznaczając, że jest to przykład współpracy radziecko-indyjskiej w dziedzinie naukowej i kulturalnej.

HIPERREALIZM

Hiperrealizm!... Nowy kierunek w sztuce zwłaszcza amerykańskiej. Po krótkotrwałym choć nieraz pełnym sukcesów, żywocie anglosaskiego pop-artu (Anglia była kolebką pop-artu, wbrew powszechnemu mniemaniu, że zrodził się on w Ameryce) modnym staje się obecnie hiperrealizm. „Malarstwo — powiedział kiedyś Salvador Dali — to kolorowa fotografia wykonana całkowicie ręcznie". To paradoksalne niegdyś powiedzenie Dali'ego w istocie swej stanowi dziś główną treść kierunku hiperrealizmu. Nowa szkoła artystyczna liczy sobie zaledwie pięć lat i ma swych adeptów głównie w kręgach młodych plastyków amerykańskich, których wiek nie przekracza czterdziestu lat życia.

Czego pragną hiperrealiści? Chcą przede wszystkim przedstawienia w sztuce realności i realiów dnia dzisiejszego bez jakiegokolwiek upiększania, estetyzowania, bez emocji. Ich zadaniem jest ukazanie realnych przedmiotów w dziele sztuki, ludzi, zdarzeń, scen, utrwalenie ich i uwiecznienie w obrazie, rysunku, rzeźbie. Danie świadectwa obyczajowości, zwyczajów, realiów społeczeństwa w jakim żyją, to jest konsumpcyjnego, jego wytworów, jego mody, jego stylu życia. Malują więc witryny sklepowe, maszyny, samochody, zwykłe umywalki w mieszkaniach, odzież na człowieku lub bez niego, typowe sceny uliczne, zwiedzanie muzeów przez turystów itp., itp. Aby zaś ich przekaz był możliwie wierny, opierają się przede wszystkim na fotografii kolorowej. „Używam fotografii — mówi Audrey Flak — ponieważ pomaga mi przy malowaniu. Fotografia nie denerwuje się, nie śmieje, nie rusza jak to czynią modele ludzie. Mogę studiować w spokoju, by jak najwierniej oddać rzeczywistość, a fotografia pozwala mi dostrzec szczegóły, których bez niej nigdy bym nie spostrzegł".

Oddawanie w obrazach realności dnia codziennego — oto główne zadanie hiperrealistów, choćby ta rzeczywistość była nawet okrutna czy zgoła nieludzka.

Ci młodzi malarze są niezwykle pracowici. Studiują nieraz szereg fotografii danego przedmiotu, widoku czy sceny by jak najdokładniej uchwycić światło, kolor, formę, refleksy świetlne. Później nieraz całymi miesiącami trwa żmudna praca. Posługują się zazwyczaj malutkim pędzelkiem, nakładają z niezwykłą dokładnością farby, stosują czasem rozmaite techniki malarskie by w wyniku otrzymać duży obraz przeważnie o powierzchni 2x1,5 m. Czy po tej całej pracy rezultatem nie jest po prostu obraz identyczny lub prawie identyczny z fotografią? Nie, odpowiadają hiperrealiści. Zależy im bowiem: jak twierdzą, na oddaniu pełnej realności, a nie obrazu przypadkowego jaki daje często fotografia, zależna przecież od rodzaju aparatu fotograficznego, warunków chwilowego oświetlenia, kąta ujęcia itp.

Jak zapowiada „Paris-Match" z początkiem przyszłego roku ma się odbyć w Paryżu, pierwsza wielka wystawa hiperrealistów, do której obecnie przygotowują się zwolennicy tego nowego kierunku w sztuce.

JAJECZNICA NA PLECACH

Podobno o kolei nie warto już pisać, bo i tak się z nią nigdy nie wygra, ale ja jeszcze spróbuję i proszę, aby Pan to wydrukował, to może tych z kolei jakoś ruszy. Ja nie mam żalu do kolei, że się spóźnia i hałasuje, gwiżdże, ani o to, że czasem rusza nie w tym kierunku, co trzeba. Idzie mi o fakt, że PKP nic sobie nie robi z setek ciężko pracujących ludzi, którzy chcieliby jak najszybciej dotrzeć po pracy do domu. Mam tu na uwadze praktyki stosowane przez PKP na dworcu Łódź-Kaliska, które stają się ostatnio cykliczne.

Oto w sobotę, dnia 13 października, br, zjawiłem się punktualnie o godz. 13,29 na peronie drugim, aby przejechać się w kierunku Zduńskiej Woli, lecz pociągu nie było. Były za to spore grupki podróżnych, obsiadujące ławki na świeżym powietrzu, ale nie dla relaksu, tylko w nerwach.

Gdybym nie był tak punktualny, byłbym się dowiedział, że pociąg został odwołany. Czekałem więc na następny, który miał odjechać o godz. 13,56, a wokół mnie gromadzili się pasażerowie, rzecz jasna, już z dwóch pociągów. Wreszcie megafon obwieścił, że ten pociąg nadjeżdża, więc należy uważać i odsunąć się od toru. Nikt się jednak nie odsuwał, tylko gnał ostro do przodu, bo ten pociąg do Zduńskiej Woli o 13,56 był ucięty, czyli składał się tylko z trzech wagonów.

Ponad półtysięczny tłum robotników, urzędników i uczniów wbił się do tych trzech wagonów, pomagając sobie łokciami i wesołymi okrzykami. Ja chciałem przejechać się tylko przez jakiś kwadrans, lecz wbito mnie w głąb wagonu. Jednego bardzo eleganckiego człowieka w ciemnych okularach poszturchiwano mocno, więc on zwrócił się do wbijanej w niego robotnicy:

— Odsuń się, stara!

— Cham! — zaszemrał tłum.

— Może pobijesz kobietę, baranie!

Dobijał nowy zaciąg z peronu. W ścisku i zaduchu młodzież usiłowała palić sporty. Zalatywało ortalionową przypalanką. Ktoś wepchnął na pomost starą kobietę.

— Ojejku — piszczała stara kobieta — moje jajka!

— Pani — jęknął ku radości młodzieży przygniatający ją mężczyzna — a moje?!

— Ale z moich jajecznica na pańskich plecach!...

— Żeby to tak rano, nie, to się można by było spóźnić do roboty, a tak... — westchnął człowiek w średnim wieku.

Nie widziałem, co się dzieje na peronie, ale z okrzyków pasażerów skupionych na pomoście wnioskowałem, że biega tam kierownik tego uciętego pociągu. Nikt nie drgnął, choć już wszyscy wiedzieli, że pociąg nie ruszy, bo nie można zamknąć żadnych drzwi.

I nie ruszył. Zbliżała się godzina 14,30, a więc za dwie minuty miał odjechać z sąsiedniego peronu pociąg do Ostrowa Wielkopolskiego. Wraz z kilkoma śmiałkami udało mi się wycisnąć z wagonu i dostać do tamtego pociągu. Za nami forsowali tory i statki pozostali pasażerowie, bo megafon kazał wsiadać w ten pociąg do Ostrowa. Było jeszcze ciaśniej, gdyż teraz w jednym pociągu ubili się pasażerowie z trzech pociągów.

Wisząc na biuście i łopatce najbliższych towarzyszy podróży dotarłem wreszcie do mojej stacji. Obliczyłem, że podróż mająca trwać 15 minut przeciągnęła się do 1 godziny 23 minut. Ktoś powiedział, że było uszkodzenie linii trakcyjnej, więc pociągi elektryczne nie mogły jechać, tylko ten parowy do Ostrowa. Pół tysiąca ludzi o tym nie wiedziało, PKP chyba wiedziały...

JAN GONTAL

STUDIO PIOSENKI

Po pierwszym koncercie Studia Piosenki ktoś z obecnych powiedział do organizatorów: „Musiała was ta impreza kosztować masę pieniędzy..." Prawda jest jednak dużo prostsza i dużo bardziej sympatyczna. Przy organizowaniu tego — jakże potrzebnego Studia — grała rolę zupełnie inna waluta... A mianowicie: inicjatywa, życzliwość współpracowników, zrozumienie potrzeby takiego rozrywkowego forum...

Redakcja Muzyczna Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia zapewniła nagrania radiowe, SDH „Central" ufundował nagrody dla wykonawców, „Estrada Łódzka" wypożyczyła urządzenia nagłaśniające, łódzka prasa zapewniła odpowiednią informację, drukarnia prasowa wykonała program i folder... Nawet redakcja „Karuzeli" udostępniła swoje pomieszczenia redakcyjne na... garderobę dla wykonawców i modelek „Centralu"... Słowem — wszyscy wokoło pomagali w uruchomieniu Studia Piosenki. Widać u wszystkich istniała świadomość potrzeby takiego studyjnego „laboratorium piosenki", gdzie utwory mogą się zmierzyć po raz pierwszy z publicznością.

Październikowe Studio wygrała piosenka „Idę ziemią" **Andrzeja Żylisa** ze słowami młodego łódzkiego poety **Zdzisława Jaskuły**, zaśpiewana pięknie przez **Marylę Lerch.** Drugą i trzecią nagrodę otrzymali wykonawcy: **Wielisława Kropidłowska** i zespół wokalny **„Camer-Ton"**. W sumie jednak na dziesięć premierowych piosenek co najmniej połowa zasługiwała na wyróżnienie. Duet: **Jolanta Szen** i **Jerzy Mirton** wystąpili z bardzo chwytliwą piosenką **Ireneusza Wikarka**, a wspomniana już **Maryla Lerch** miała w swoim repertuarze jeszcze jedną ambitną piosenkę **Andrzeja Żylisa** i **Wiesławy Czołnik.**

Październikowy koncert Studia Piosenki miał charakter roboczej giełdy (jury przewodniczył **Andrzej Hundziak**), publiczność stanowili głównie ludzie ze środowisk artystycznych, choć nie wyłącznie. Wśród widzów zauważyć można było na przykład trenera narodowej kadry piłkarskiej, **Kazimierza Górskiego.**

Różne mogą być oceny październikowej giełdy, jedno wszakże jest pewne. Takie forum dla piosenki jest w Łodzi potrzebne. Świadczy o tym zatłoczona salka Klubu Dziennikarza, świadczy życzliwość i pomoc wszystkich instytucji, które przyczyniły się do zorganizowania tej, pierwszej od lat, giełdy piosenek.

J. WIL.

ZESPÓŁ WOKALNY „CAMER-TON"

POWIĘKSZENIA

RADOŚĆ

Ucieszyliśmy się szalenie, czytając w „Expressie Ilustrowanym" tytuł informacji: **„PRZEMYSŁ TERENOWY ZAPOWIADA ROZSZERZENIE ZAKRESU USŁUG".**

Z treści informacji dowiedzieliśmy się, że:

„Na uszycie ubrania czeka się często do ośmiu tygodni".

„Nie najlepiej jest z usługami stolarskimi. Można np. zamówić sobie wyposażenie kuchni w estetyczną drewnianą obudowę, ale trzeba na to czekać co najmniej pół roku".

„Dość dziwnie wygląda sytuacja w pralnictwie. Okazuje się, że tylko w 60 proc. wykorzystane są moce zakładów pralniczych".

O tym wiemy już od lat i to z praktyki. Szukaliśmy więc zapowiadanego **„rozszerzenia zakresu usług".** I znaleźliśmy.

„Dyrekcja zjednoczenia zapowiada jednak rozwijanie cieszących się popytem działów usług. Nowe zakłady drzewne, które powstaną n i e d ł u g o (podkreślenia Powiększeń) **przy ul. Zgierskiej, p o w i n n y w p e w n y m s t o p n i u rozwiązać sytuację".**

No i tak jeszcze raz góra urodziła mysz.

NIE BUJAĆ DZIECI

Jedna z warszawskich gazet w cotygodniowej rybryce „Podróż po mieszkaniu" przeznaczonej dla dzieci pisze:

„W nowoczesnym budownictwie w s z y s t k i e przewody schowane są we wnętrzu tak zwanych szybów instalacyjnych. Dlatego też w naszej podróży nie spotykamy rurociągów umieszczonych na przykład na ścianie".

Widać autor podróżuje tylko we własnym mieszkaniu. Zapraszamy na szkoleniową podróż do łódzkich bloków.

NIE DALI SIĘ

„Życie Pabianic" zwierza się:

„Miasto nasze — jak do tej pory — pozbawione jest imprez czy akcji kulturalnych o dużym rozmachu i dużym zasięgu. Możemy się jedynie poszczycić Pabianickimi Dniami Kultury, które co prawda na trwałe weszły do tradycji, ale są imprezą o zasięgu lokalnym, nie mogącą rozsławić naszego grodu w kraju i skupić nań uwagi środowisk twórczych bądź artystycznych.

Z doświadczenia wiemy jednak, iż rolę takiego swoistego „magnesu" spełniają przede wszystkim wszelakiego rodzaju festiwale lub konkursy".

I wymyślili: OGÓLNOPOLSKI KONKURS... TRĘBACZY.

RECENZYJKA

L.H. pisze w „Expressie Ilustrowanym":

„Udanym portretem „ludowego inżyniera". Wawrzak podjął problem swego rodzaju kapitana przemysłu w naszych warunkach, sprawę duchowego awansu ludzi z robotniczego środowiska".

Awansować autora! Na swego rodzaju sierżanta stylu!

EUROPA

W jednym z kiosków z piwem na Chojnach przeczytaliśmy następujące zawiadomienie:

„Osobom w roboczych ubraniach i kombinezonach piwa nie sprzedajemy".

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

BOCCACCIO

DEKAMERON

...W mieście Capsa w Barberii mieszkał przed laty pewien bogaty człek, który pośród wielu innych dzieci posiadał piękną i urodziwą córkę, zwaną Alibech. Dzieweczka ta, nie będąc chrześcijanką, słyszała nieraz, jak to chrześcijanie w Capsa przebywający, wiarę swoją i swoją służbę bożą wynoszą. Dlatego też zapytała pewnego dnia spotkanego na drodze chrześcijanina, w jaki sposób Bogu najlepiej służyć można. Zapytany odparł, że najlepiej Bogu służą ci, co najdalej od ziemskich spraw uciekają na podobieństwo pustelników, którzy na pustynię Tebaidy się udali. Wówczas niedoświadczona dziewczyna, która zaledwie czternaście lat liczyła, raczej dziecinnym zachceniem niż pragnieniem rozumnym powodowana, nie pytając się nikogo o radę, samiuteńka wybrała się w tajności następnego ranka w drogę do Tebaidy.(...)

Doszła do pustelni młodego pustelnika, wielce zacnego i nabożnego człeka, zwanego Rustico.(...)

Rustico, chcąc na wielką próbę swoją cnotę wystawić, nie odprawił jej, lecz w celi swojej ją zatrzymał. Za nadejściem nocy narychtował jej łoże z palmowych liści i wezwał ją, aby się na nim położyła. Wkrótce pokusy walną rozprawę wstrzemięźliwości pustelnika wydały. Czując, że siły swoje przecenił, nie czekał już na dalsze szturmy, jeno podał przemocy tył i za zwyciężonego się uznał. Ostawiwszy więc świątobliwe rozmyślania, modlitwy i biczowania, przywołał na pamięć urodę i młodość dzieweczki i jął się głowić nad tym, jaką drogą mógłby dojść do celu tak, aby ona nie spostrzegła, że jako człek rozwiązły tylko zaspokojenie swych chuci miał na celu. Najpierw zadał jej szereg pytań i z responsów jej poznał dowodnie, że jeszcze nie wie wcale, co to za zwierzę jest mężczyzna, a takoż, że jest w samej rzeczy tak nierozgarniona jaką się być wydawa. Upewniwszy się o tym postanowił pod pokrywką służby bożej do tego ją przywieść, aby jego woli posłuszną była. Przede wszystkim więc szyroce rozpowiadał jej o diable, zaprzysięgłym wrogu ludzkiego rodzaju i Boga, a później dał jej do zrozumienia, że niczym Bogu bardziej przysłużyć się nie można, jak zapędzeniem czarta do piekła, dokąd twórca na wieczność go wygnał.

Dziewczyna zapytała, jak się do tego zabrać należy.

— Zaraz obaczysz — odparł Rustico — czyń tylko to, co ja czynić będę. Rzekłszy te słowa, zrzucił z siebie swój nędzny przyodziewek i obnażony całkiem padł na kolana, jak gdyby modły zanosić postanowił. Młódka, równie naga, uklękła naprzeciw niego. Rustico, widząc ją w tej postaci, jeszcze większą żądzą zapałał, tak iż nastąpiło zmartwychwstanie jego przyrodzenia. Alibech, spostrzegłszy to, zawołała w srogim zdziwieniu:

— Rzeknij mi, Rustico, co to u ciebie dźwiga się na przodzie, czego ja wcale nie mam?

— Ach, córko moja — jęknął Rustico — jest to ów diabeł, o którym ci mówiłem. Teraz właśnie dręczy mnie tak okrutnie, że ledwie wytrzymać mogę.

— Niech Bóg będzie pochwalony — zawołała dzieweczka — widzę, że ja jestem szczęśliwsza od ciebie, nie mam bowiem takiego plugawego diabła.

— Prawdę rzekłaś — odparł Rustico — ale posiadasz za to inną rzecz, której ja nie mam.

— Cóż to takiego? — spytała Alibech.

— Masz piekło —rzekł Rustico — i zaprawdę, powiadam ci, że Bóg cię tu przysłał dla zbawienia duszy mojej, jeżeli się bowiem ulitujesz nade mną i jeśli, gdy ten diabeł męczyć mnie pocznie, zgodzisz się, bym go do piekła zapędził, wielką ulgę mi sprawisz i uczynisz Bogu rzecz wielce miłą.(...)

— Czcigodny ojcze, jeżeli w samej rzeczy mam piekło, to niech się stanie, jak chcesz.

(...) Zaprowadził dzieweczkę na posłanie i pokazał jej, jak się zachować należy, gdy się chce potępieńca uwięzić. Młódka, która jeszcze nigdy żadnego diabła do piekła nie zapędzała, uczuła na razie przykrość niejaką i dlatego też rzekła:

— Zaiste, mój ojcze, diabeł ten musi być obmierzłym potworem i prawdziwym nieprzyjacielem Boga, bowiem nawet samemu piekłu przy wejściu prawdziwą udrękę sprawia.

— Moja córko — zawołał Rustico — nie zawsze tak będzie!

I aby diabła poskromić, nim podnieśli się z posłania, jeszcze sześć razy go do piekła zapędzili, tak że mu na ten raz pychę z głowy wybili i do spokojności przywiedli. Niekroć później znów się w nieposkromionej dumie podnosił, dzieweczka okazywała się zawsze skłonna do upokarzania go, znajdując wielkie w tym ćwiczeniu ukontentowanie. Mawiała wtedy do Rustica:

— Widzę teraz dowodnie, że prawdę powiadali ci poczciwcy z Capsa, twierdząc, iż nader miłą rzeczą jest Bogu służyć. Istotnie bowiem nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek z jakiejś pracy tyle rozkoszy odnosiła, co z tego zapędzania diabła do piekła. Wnoszę stąd, że każdy, kto z całych sił Bogu służyć się nie stara, jest jeno zwierzęciem bezrozumnym.

Dlatego też przychodziła często do Rustica i odzywała się na ten kształt:

— Czcigodny ojcze, przybyłam tutaj, po to, aby Bogu służyć, a nie aby próżnować. Chodźmy więc i diabła do piekła wrażajmy!

Podczas nabożnego ćwiczenia mawiała zasię:

— Nie pojmuję, Rustico, dlaczego ten diabeł z piekła ucieka? Gdyby w nim tak ochotnie pozostawał, jak piekło go ochotnie przyjmuje, wiecznie by tam przebywać powinien.

Takim zachęcaniom i pobudzaniem do służby bożej młódka wreszcie Rusticowi tyle wełny z kaftana uszczknęła, że w chwili gdy poty biłyby na innego, zimny go już tylko dreszcz przejmował. Dlatego też powiedział wreszcie Alibech otwarcie, że diabła tylko wtedy gnębić i do piekła pędzić potrzeba, gdy głowę z pychy zbytnio do góry podnosi.

— My zaś —dodał — za łaską bożą takeśmy go ujarzmili, że prosi tylko o jedno: ażeby go w spokoju pozostawić.

(Fragmenty) — tłumaczył Edward Boye

Giovanni Boccaccio (1313—1375), wybitny pisarz i humanista, twórca artystycznej prozy włoskiej. Autor m. in. „Dekameronu", zbioru stu nowel, które wywarły ogromny wpływ na literaturę europejską.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 49 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwartalnie 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28 — 2442. T-14. Nr indeksu 37006